

Kamienni rycerze

Anna Rachowa chodziła nerwowa po komnacie. Co chwila kierowała wzrok ku wysokim, dębowym drzwiom. Usta miała zaciśnięte, ręce błądziły bez celu po fałdach długiej, ciężkiej sukni. Zmęczona stanęła przy oknie. Słońce chyliło się ku zachodowi, wydłużając cienie drzew rosnących przed domem. Tylko fale wiślane błyskały na horyzoncie złotym, niespokojnym blaskiem.

- Kiedyż ta Zbysława przyjdzie? - szepnęła do siebie Anna. Odwróciła się od okna. Mroczno tu - pomyślała. Już chciała wołać o światło, gdy drzwi otworzyły się i w progu ukazała się Zbysława.

- Wreszcie jesteś! siadaj, proszę. Każe przynieść świece.

- Dobrze, dobrze - powiedziała machinalnie Zbysława. Tymczasem siądźmy tu, przy oknie.

- A więc powiadaj.

Zbysława przysunęła sobie taburet, usiadła i spojrzała uważnie na przyjaciółkę. Chcesz znad całą prawdę - zapytała cicho.

- Całą, całą prawdę... Wszystko chcę o niej wiedzieć - gwałtownie zareagowała Anna. Jaka ono jest?

W tej chwili obie kobiety zamilkły. Do komnaty weszła służebna, niosąc świece. Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, wzrok Anny spoczął na twarzy Zbysławy. Wzrok ten był tak przejmujący, że nowoprzybyłą kobietą wstrząsnął dreszcz.

- Jaka ona jest? - powtórzyła wolno pytanie. Tego nikt na pewno nie wie. Może nawet ona sama. Ale mówią o niej źle.

- Źle mówią, powiadasz - zasepiła się Anna.

- Źle - powtórzyła Zbysława,

I znów zapadła cisza, Słysząc było tylko skwierczenie świec. Ich migotliwy blask, miast światła, zdawał się pogłębiać cieniem zmartwioną twarz. Anny. A jako że mówią? - zadała wreszcie następne pytanie.

Mówią - Zbysława ściszyła głos - mówią... że młodych w wodzie topi.

- W wodzie?... Topi?... - zdumiała się Anna.

Zbysława wstała i pociągnęła przyjaciółkę bliżej do okna.

- Patrz, oto Wiśła. Widzisz ten wysoki pagór po drugiej stronie? - Tam to ci Halszka staje i śpiewa... Śpiewa długo i bardzo pięknie. Oj, pięknie... Woda niesie jej głos na mile stąd.

A śpiewa wtedy, kiedy od Sandomierza tratwy w dół płyną. Flisakom śpiewa. Powiadają, że głos jej najpierw pieści uszy chłopcom, a potem rozum im mąci. Wiosła wypadają z rąk, a oni ku brzegowi idą wpatrzeni w nią i zasłuchani. W tym miejscu, gdzie rzeka w prawo skraca, ogromne wiry kołują. Tratwy pękają, huk wstaje wielki, a ludzie idą na dno. Ale nie krzyczą, milcząc umierają.... Jakby czarem opętani... Jakby nie wiedzieli, że oto wybiła ich ostatnia godzina.

A Halszka patrzy z wysokiego brzegu i ciągle śpiewa. Kiedy woda wszystko, co żyje, wtłoczy na dno i kiedy śladu już nie ma po tratwach, wtedy dopiero na chwilę milknie. Lecz zaraz potem wybucha śmiechem. Ogromnym, strasznym śmiechem. Śmieje się długo, biegnie z rozwianym włosom w dół, ku polom i niknie w mroku. I nie wiadomo, co najbardziej straszne - ten jej Śpiew czy śmiech.

Zbysława skończyła swoją opowieść. Anna siedziała nieruchomo. Patrzyła w okno, nie odrywając oczu od coraz bardziej ciemniejszego brzegu Wiaty. Wydawało się, że tam, daleko widzi Halszkę biegnącą przez pola, że słyszy naprzemian jej śpiew i śmiech. Ocknęła się wreszcie. Spojrzała na przyjaciółką, ale milczała dalej.

- Co chcesz zrobić? - w głosie Zbysławy zabrzmiała troska.

- Nic już nie mogę zrobić - Anna westchnęła ciężko i pochyliła głowę. Zaklinałam Sędziwoja na pamięć ojca, na moją miłość matczyną. Nic nie pomogło. Odtrącił mnie. Powiedział, że miłuje ją ponad wszystko na świecie, że nic tej miłości nie umiejszy. Tylko ją chce mieć za żonę. Cenniejsza jest dla niego niż znak rodowy jego i ojców jego, niż samo życie. Powiedział, że nawet pod groźbą mojej klątwy nie wyrzeknie się jej.

Bezgłośny szloch wstrząsnął Anną.

- Taki mój los wdowi - wyszeptała cicho. Taki los...

Ślub Sędziwoja z Halszką odbył się wkrótce potem. Matka, widząc, że niczym nie przekona syna, z bólem w sercu wyraziła, swoją zgodę. Za Sędziwojem przemówił również jego brat, Żegota. Chociaż i on znał złą sławę przyszłej bratowej, także i na nim zrobiła wrażenie jej wielka uroda.

Na wesele ściągnęło mnóstwo gości z obu stron Wisły - spod Sandomierza i Zawichosta, ze Słupi, rodzinnej wsi Halszki. Nawet z dalekiego Krakowa przybył rycerz Sławomir, krewny Anny, który wraz z królem na wyprawy wspólne chadzał. Dwór Anny wszystkich gości nie pomieścił. Rozstawiono stoły na dziedzińcu, wnoszono coraz to nowe potrawy, wydobywano z piwnic baryłki wina i miodu, rozdawano podarki. Długo w noc rozbrzmiewały we dworze pieśni weselne, długo płonęły ogniska, których płomień raz po raz rozniecano, wrzucając coraz to nowe, przedtem przygotowane wielkie sosnowe polana, długo i głośno rozbrzmiewały wiwaty na cześć młodej pary.

Raz tylko nastrój wesela został zmacony. W pewnej chwili, tuż przed świtem z roziskrzonego gwiazdami nieba wystrzelił piorun. Na ziemi nie spadła ani kropla deszczu, dał się słyszeć jedynie potężniejący z chwili na chwilę grzmot.

Na niebie znów widać było tylko migocące gwiazdy i lecące ku górze iskry z palących się ognisk.

- Zły to znak - szeptali niektórzy z weselników.

Anna również zasępiła się. Podniosła głowę i patrzyła długo w niebo, jakby szukając, która to z tych niezliczonych gwiazd jest gwiazdą jej syna i jaką mu przyniesie przyszłość. Czy ta przyszłość będzie szczęśliwa? Oby, oby tak było - Anna bardzo chciała w to uwierzyć. Z głębokiego zamyślenia wyrwał ją dopiero ostry, przejmujący dźwięk tłuczonego kryształu. To rycerz Sławomir, chcąc zatrzeć przykre wrażenie wywołane rozdarciem spokojnego nieba przez piorun, podniósł się ze swego miejsca, wzniósł w górę wspaniały, kryształowy kielich i obrócił go w roku.

- Patrzcie - zawołał - widzicie, ile na tym kryształach migoce światła? Tyle ci, Halszko mają i tobie Sędziwoju życzę szczęścia i potomstwa. Co powiedziawszy Sławomir wychylił kielich do dna i z rozmachem rozbił go o posadzkę. Kryształowe drobiny rozpięzły się po sali, zabrzmiały śmiechy, wznoszone nowe toasty. Uczta toczyła się dalej. Nie przerwały jej nawet pierwsze promienie wschodzącego słońca.

W dwa miesiące później Sędziwój wyruszył w wojewodzińskim orszaku na wielkie

łowy. Halszka pozostała w domu. Małżeństwo nie zmieniło ani jej charakteru ani upodobań. Czepek niewieści nie przydał jej powagi, nadal była lekkomyślna, nadal odbywała samotne wyprawy nad Wisłę. Po wyjeździe męża zmieniła jednak upodobania. Uwagę jej zwrócił młodszy brat Sędziwoja, Żegota.

Żegota, młody rycerz, odważny i porywczy, początkowo nie zwracał uwagi na długie, powłóczyście spojrzenia pięknej bratowej. Halszka była jednak uparta. Wyszukiwała różne preteksty, aby jak najczęściej przebywać z Żegotą. Postanowiła rozkochać w sobie i drugiego brata. Zaczęło się od niewinnych spacerów konno do okolicznych lasów. Wycieczki te były coraz częstsze i dłuższej aż nadszedł czas, że oboje młodzi całe dni spędzali a sobą. Wkrótce rozeszła się wieść, że Żegota uwiódł bratu żonę, a i oni sami nie próbowali nawet kryć swoich uczuć.

Anna Rachowa z przerażeniem patrzyła na to co się dzieje. Rozmawiała z Żegotą, zaklinała na wszystko, co święte, przekonywała, jak bardzo źle robi wiążąc się z żoną własnego brata. Ale rozsądne rady nie miały już dostępu ani do głowy, ani do serca młodego rycerza. Powiedział tylko, że sam wyzna bratu, co się stało.

- Gotów jestem ponieść wszelkie konsekwencje - zakończył rozmowę z matką.

Halszka natomiast wszelkie uwagi świekry zbywała śmiechem! w którym pobrzmiwały złe i przewrotne nuty.

- Czy to ja jestem winna, że obaj wasi synowie kochają się we mnie - mówiła.

Anna zrezygnowała i nie próbowała więcej rozmawiać ani z Żegotą, ani z Halszką. Większość czasu spędzała zamknięta w swoim pokoju. Nie było chwili, aby puściły ją posępne myśli. W nocy słyszano jej żaloszny szloch. Każdego dnia rozpacz jej pogłębiała się, każdy bowiem dzień nieubłaganie przybliżał moment powrotu Sędziwoja do domu.

Wreszcie Sędziwój wrócił. Żegota dotrzymał słowa i wyznał wszystko bratu. Sędziwój słuchał spokojnie. To, co się działo w jego sercu, można było odczytać tylko z twarzy, która na przemian to bladła, to purpurowiała. Milczał długą chwilę. Z ust jego wyszły ledwo słyszalne słowa: hańba memu imieniu. Kiedy podniósł głowę, twarz rycerza była spokojna, rysy zaostrome. Spojrzenie jasne i twarde.

- Nie masz miejsca dla nas obydwu na świecie - powiedział.

Sprawę rozsądzi udeptana ziemia.

- Jaką broń wybierasz? - zapytał Żegota.

- Topory - odrzekł krótko Sędziwój.

Na wieść o tym, co postanowili synowie, Anna niemal zaniemówiła. Początkowo nie chciała wierzyć. Pobiegła do obu, błagała, aby poniechali strasznego zamiaru. Przypominała ich dawną braterską miłość, zaklinała na pamięć ojca,

- Nie przeżyję tej walki - Anna upadła przed synami na kolana. Wiecie przecież, że dla mnie, matki każdy wynik tej walki będzie i końcem mego życia. I końcem naszego rodu - dodała jeszcze błagalnie.

Bracia jednak nie chcieli odstąpić od powziętego już zamiaru. Wzięli matkę pod rękę i zaprowadzili do jej komnaty. Anna była tam jednak tylko chwilę. Na pół przytomna poszła prosić Halszkę o pomoc. Ale i tu łzy matczyne na nic się nie zdały,

- Ja ich nie namawiałam do walki - rzekła Halszka. To ich męska sprawa. Będę

należała do tego, który zwycięży.

- Ty żadnego z nich nie kochasz! Ty kochasz tylko siebie - krzyknęła jeszcze Anna i padła zemdlna na ziemię.

Nazajutrz ledwo pierwsze promienie słońca zaczęły padać na dolinę wiślaną, ukazały się dwa niewielkie orszaki zbrojnych. Na czele jednego kroczył Sędziwój, drugiego - Żegota. W drużynach panowało milczenie. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że będzie to bój straszny. Gdyby Sędziwój wybrał miecz lub kopię, rozstrzygnięcie nie musiałyby być śmiertelne. Ale topory... Każdy rycerz wiedział, że w walce na topory tylko jeden z przeciwników może pozostać żywy.

Miejsce było obrane starannie. Ziemia równa, twarda, placu dużo, przestronnie. Orszaki zbliżały się powoli, Sędziwój i Żegota patrzyli na siebie, ale wydawało się, że się wzajemnie nie widzą. Postacie ich były bardzo podobne. Obaj mieli na sobie takie same zbroje opinające szczelnie ich smukłe ciała. Na głowach hełmy z otwartymi okapami, w prawych rękach topory osadzone na mocnych dębowych styliskach. Na lewych rękach tarcze. Na widok tych tarczy dreszcz wstrząsnął wszystkimi zebranymi. Na obu misternie rzeźbione widniały herby rodowe. Te same znaki. To przecież brat stawał przeciw bratu...

Spokojna była tylko Halszka. Stała opodal na niewielkim wzniesieniu i przyglądała się przygotowaniom do walki. Jej szeroko otwarte, piękne oczy błyszczały jedynie ciekawością. Ani przez chwilę choćby cień niepokoju nie przemknął po jej twarzy. Wydawać by się mogło, że dla niej to, co za chwilę miało się wydarzyć jest tylko zwykłym rycerskim turniejem, zwykłą zabawą, a nie rodzinną tragedią.

Miała zapewne rację Anna mówiąc, że Halszka żadnego z nich naprawdę nie kocha. Przyszła tu, aby zobaczyć fascynujące widowisko.

A tymczasem członkowie orszaków obu rycerzy jakby wstrzymali oddech. W ogromniej ciszy słychać było tylko chrzęst zbroi. Sędziwój i Żegota ruszyli naprzeciwko siebie. Obaj, chociaż mieli na sobie ciężkie pancerza, szli lekko, uważnie, ostrożnie. Oczy, przedtem nieruchome, teraz stały się czujne. Widziały każdy ruch przeciwnika, każdy zwód.

Pierwszy ruszył do boju Sędziwój. Kiedy byli już blisko siebie, podniósł topór do góry, który przez ułamek chwili jakby zatrzymał się w powietrzu, aby natychmiast potem opaść ze straszną siłą. Żegota przyjął cios na tarczę, cofnął się o krok i teraz on z kolei przystąpił do ataku. Topór błysnął tylko i gdyby nie nagły półobrót Sędziwoja, dosięgnąłby ramienia brata.

Tak i ten cios spoczął na tarczy. Sędziwój cofnął się dwa kroki. Spoza przyłbicy mignęły jego oczy - skupione, jakby większe niż normalnie. Nie było w nich jednak nic, co mogłoby wskazać, że tym skupionym wzrokiem patrzy na brata. Były to oczy wojownika, który myśli tylko o zadaniu decydującego ciosu.

I w chwilę potem wydawało się, że cios ten został zadany. Topór Sędziwoja spadł z tak ogromną mocą na ramię Żego, iż wszyscy pomyśleli, że młodszy brat padnie. Ten jednak w ostatniej sekundzie przyjął cios na tarczę i chociaż cofnął ją prawie natychmiast, ręka opadła mu bezwładnie odsłaniając całe ciało. Sędziwój, widząc to, ruszył znowu naprzód. Nie było litości w tej walce.

I wtedy z kasztelu zabrzmiał potężny głos. Z siły tego głosu wnioskować by można, że wyszedł on z piersi rosnącego i silnego męża, a był to tylko głos kobiety. Głos Anny Rachowej, która z daleka obserwowała walkę. Nie wiadomo, czy wzrok starej matki tak się wyostrzył, czy sytuację na polu bitwy odczuła kochającym i zrozpaczonym sercem, ale krzyknęła: obyście się w kamienie lepiej zamienili, niżli by miał paść brat z ręki brata!

Nie przebrzmiały jeszcze do końca straszne słowa Anny, kiedy nad doliną zerwał się ogromny wichur, niebo pociemniało, a pole walki okrył jak całunem gęsty, nieprzenikniony tuman pyłu. Ludzie z krzykiem rozbiegli się na wszystkie strony. Anna zaś przerażona tym, co wyrzekła, osunęła się zemdlna na ziemię.

Po pewnym czasie pył opadł. Zrobiło się jasno. Dolina była pusta. Słońce weszło już wysoko, oświetlając wszystko dookoła. Tylko tam, gdzie jeszcze tak niedawno stali dwaj bracia, ścieliły się długie cienie. Cienie rzucane przez kamienie przypominające do złudzenia dwóch rycerzy. Na wzgórzu leżał trzeci kamień, bardziej drobny i smukły - to Halszka. Wszyscy oni zostali zamienieni w kamienie.

Anna doprowadzona do przytomności, na próżno biegła od jednej kamiennej postaci do drugiej, wołając na przemian: Sędziwoju! Żegototo! Dzieci moje! Ożyjcie! Obym to ja skamieniała, aniżeli wy. Głos nieszczęsnej matki niósł się dalekim echem ku Wiśle i jeszcze dalej, ale kamienie ani drgnęły. Wyczerpana kobieta padła wreszcie na ziemię, zamglonym spojrzeniem ogarniając zimne kamienia. Chwilami tylko usta jej bezgłośnie jeszcze szeptały: Sędziwoju, Żegoto, Sędziwoju, Żegoto...

Do dziś jeszcze o milę lub półtora w dół rzeki od Zawichosta, w okolicy dzisiejszego Annapola można oglądać trzy samotne kamienie kształtem przypominające ludzi. Rysów ich już nie rozpoznasz. Deszcz i wiatr rzeźbiły je długo i nadały im inny kształt.

W wiele lat później, w XIX w. znakomity malarz Józef Simmler odtworzył na płótnie postać Halszki. Piękną, uwodzicielską, tę, która wabiła swą urodą i głosem wiślanskich flisaków. Tę, którą pokochali nieszczęsną miłością dwaj dzielni rycerze, Sędziwoj i Żegota. Obraz ten miał przestrzegać wszystkich młodych przed lekkomyślnością i złą miłością. Nie zawsze bowiem piękne lico daje szczęście, tak jak nie zawsze złotem jest to, co się świeci...

Sąd diabelski

Był rok 1637. Ulicą Bramową w stronę rynku szła ubogo ubrana kobieta. Nie widziała otaczającego ją tłumu, nie słyszała pokrzykiwań woźniców, ani kupców zachwalających swój towar. Szła prostu w kierunku Trybunału. U wylotu ulicy musiała się zatrzymać i przytulić do muru. Z przeciwnej strony toczyła się szybko bogata pańska karoca. Karoca zniknęła już za Krakowską Bramą, a kobieta stała jeszcze, otrzepując swój wdowi strój: długi czarny płaszcz, takąż suknię i także czarne zawicie. Robiła to jednak niezbyt dokładnie, jakby machinalnie. Patrzyła na okazały gmach i myślała o sprawie, która ją tu sprowadziła. Co ją czeka w tych murach, czy znajdzie sprawiedliwość, której nie zaznała gdzie indziej? Czy sędziowie wydadzą słuszny wyrok? Promienie słońca zalewające plac i biały gmach Trybunału niosły z sobą nadzieję, ale Sąd tutaj rezydujący nie cieszył się dobrą sławą. Mówiono między ludźmi, że sprawy wygrywają tylko możni i bogaci - tacy, którzy swoje racje mogli pieczętować złotem i siłą.

Wdowa otrząsnęła się po długiej chwili ze swoich smutnych myśli i ruszyła naprzód. Minęła izbę straży i przez długi przysionek wstąpiła na szerokie, kamienne schody prowadzące do sali rozpraw. Wciąż szeptała do siebie - sprawiedliwość musi zwyciężyć, musi... Przecież to mnie zrobiono krzywdę...

W tej chwili dał się słyszeć głos woźnego: - Mości panowie, uciszcie się! Idzie Marszałek najjaśniejszego Trybunału.

Za chwilę sprawa wdowy miała stanąć na wokandzie.

Sala sądowa, malowana *al fresco*, była dość obszerna. W głębi na trzystopniowym podium stał duży stół przykryty zielonym sukniem. Za nim obite czerwonym safianem dwa duże fotele dla marszałka i prezydenta. Po obu stronach stołu - masywne ławy z oparciami również obitymi na czerwono. Podium oddzielała od reszty sali niewysoka balustrada. Niedaleko, również na wzniesieniu, znajdowała się jeszcze „kratka” dla obrońców, a pod ścianami, ławki dla publiczności. Osobno usytuowana, tuż przy jednym z okien mieściła się trybuna dla możnych. Trybuna była dość wysoka, tak, aby ci, którzy tam zajmowali miejsce mogli na wszystkich patrzeć z góry.

Sala wypełniona była barwnym tłumem. Rozprawy sądowe, które gromadziły ludzi różnych stanów przybyłych tu niejednokrotnie z daleka, były swoistego rodzaju przeglądem Ówczesnej mody. Przeważał strój polski, z rzadka tylko przewijał się ktoś, kto po zwiedzeniu obcych krajów starał się zaszczepić cudzoziemskie nowinki. Kontusze były aksamitne i atłasowe z sukna francuskiego lub falendyszu. Żupany złotem haftowane z jedwabnymi łapkami i kołnierzem. Obuwie z safianu najprzedniejszego, zwanego tekińskim, czerwone lub żółte, czasem czarne. Zobaczyć można było również żupany z sukna karmazynowego, do których pod szyją przyszyte były małe srebrne guziczki. U niektórych guziczki te były połączone z osadzonymi na końcu małymi rubinami. Inni natomiast przyozdabiali swojej stroje wielkimi guzami w kształcie głogu, wielkości orzecha laskowego. Guzy były albo białe, srebrne, albo połączone. Mniej majątni używali guzów z krwawników roboty kolbuszowskiej lub głogowskiej. Wszystkie kontusze i żupany bramowane były sznurkiem jedwabnym tegoż koloru co same stroje, albo też srebrnym lub złotym.

Bogatej palety kolorów dopełniała straż trybunalska, ubrana w pąsowe mundury ozdobione zielonymi, wyłogami i złotymi szlifami na obu ramionach. Głowy mieli przybrane czarnymi kapeluszami. Dla odmiany, woźni sądowi ustrojeni byli w kontusze i żupany, uszyte z materii na przemian niebieskiej i karmazynowej. Wagę ich urzędu podkreślały przypięte u boku szable i trzymane w ręku laski. Palestra natomiast występowała w białych żupanach i pąsowych kontuszach z zieloną podszewką i kołnierzem.

Niektórzy z publiczności, mający znajomych wśród palestrantów, z ciekawością patrzyli na wdowę. Tylko ona nie wiedziała, jaki będzie przyszły wyrok Sądu. Inni już go znali. Wiadomem było bowiem, że już od tygodni sędziowie magnata rozwijali ożywioną i działalność wśród sędziów, popierając sprawę potentata nie tyle argumentami, ile sakiewkami pełnymi złotem.

On sam był również obecny na sali. Stał na trybunie, oparty niedbale o futrynę okna, przebierając palcami ogniwo złotego łańcucha wiszącego na szyi. W pewnym momencie spojrzenia wdowy i magnata spotkały się. Chociaż pańska twarz wyrażała tylko pychę i pewność siebie, wdowa nie spuściła oczu. To on odwrócił głowę, ale gdy spojrzał na sędziów, znów poczuł się pewny siebie

W tej chwili na polecenie inatygatora znów dał się słyszeć głos woźnego:

- Mości panowie, najjaśniejszy trybunał przywołuje do atentowania spraw!

Marszałek Sądu podniósł dłoń i ujął leżącą przed nim długą, okutą srebrem hebanową laskę - symbol swojej władzy i dostojności. Uderzył laską trzy razy o podłogę i dał głos adwokatowi magnata. Adwokat mówił długo i zawile, starając się jak najbardziej zaciemnić sprawę i przedstawić swego mocodawcę z jak najlepszej strony. Gdy skończył, Marszałek pochylił się ku sędziom siedzącym po obu jego stronach. Narada trwała krótko. Nikt o nic nie pytał wdowy. Marszałek wstał i szybko wypowiedział sentencję wyroku. Wyrok był korzystny dla magnata, chociaż urągał wszelkim zasadom prawa i sumienia.

Wdowa usiłowała coś mówić, tłumaczyć, ale nikt jej nie słuchał. Zagłuszył ją gwar rozmów i śmiechów. Sędziowie magnata śmieli się najgłośniej. Wydawało się, że krzyczą: po coś tu przyszła, jak śmiałaś występować przeciwko naszemu panu?

Członkowie Sadu poczęli rozmowy na inny temat. Woźny wywoływał już następną sprawę.

I wtedy dały się słyszeć wyraźne i spokojne, choć nabrzmiałe bólem słowa wdowy: diabli by mnie sprawiedliwiej osądzili, niż wy, sędziowie trybunalscy!

Na sali zapanowała kompletna cisza. Jedni stali nieruchomo, patrząc zdumieni na wdowę, to na sędziów. Twarze innych pobladły. Władza „Najjaśniejszego Trybunału” była wielka. Nikomu nie wolno było jej uchybić. Za obrazę powagi i majestatu sądu, za lekceważenie jego wyroków karano nawet śmiercią. Prawo to dotyczyło wszystkich - nawet najbardziej możnych, nie tylko chudopachołków. A teraz ta wdowa wyrzekła takie słowa... Na sali cisza trwała nadal. Nikt bowiem tutaj nie słyszał dotąd podobnej protestacji. Sędziowie siedzieli z pospuszczanymi w dół głowami. Wreszcie, po krótkiej chwili, która niektórym wydawała się być godziną, Marszałek podniósł oczy i dał znak instygatorowi. Ten z kolei wydał polecenie woźnemu. Sala rozbrzmiewała gwarem wielu pomieszanych głosów, aby za chwilę znów ucichnąć, gdy rozległy się sakramentalne słowa:

- Mości panowie, najjaśniejszy trybunał...

Wdowa samotna, ze spuszczoną głową opuściła nieprzyjazne mury Trybunału.

Tej nocy na krótko przed godziną dwunastą przed gmach Trybunału zajechało kilkanaście karet. Nocną ciszę przerwał tupot kopyt końskich i turkot kół. W kilka minut plac zaroił się od postaci ubranych bądź w kontusze lub rakiety, bądź w pąsowe togi sędziowskie. Ustawivszy się według godności, ruszyli schodami w górę, w stronę sali sądowej. Po drodze zapalano świece. Jedną, drugą, dziesiątą... Na sali jeden z przybyłych zajął miejsce Marszałka, inni sędziów i patronów.

Kiedy wszyscy zasiedli w ławkach, Marszałek kazał sprowadzić pisarza trybunalskiego, który mieszkał w gmachu Trybunału. Nie minęły trzy minuty, gdy rozespany pisarz, trzymany pod ręce przez dwu czarno ubranych palestrantów, zajął swoje miejsce. To samo, na którym siedział dzisiaj rano.

Pisarz zaczął się rozglądać wokoło. Pozornie sala wyglądała identycznie, jak przed południem. Za stołem - Marszałek i Sędziowie, za bratkami - adwokaci, przy drzwiach - woźni. Na sali paliło się tyle świec, iż wydawało się, że sprawa odbywa się przy świetle dziennym. Na marszałkowskiej lasce błyszcząły srebrne inkrustacje. Jej ozdobne zakończenia wyglądały jeszcze piękniej niż rano. Tylko ci sędziowie...

Im dłużej pisarz im się przyglądał, coraz większe krople potu rosily jego czoło i coraz szerszymi strugami opadały po policzkach, szyi, karku. Był już prawie całkiem mokry. Koszula przylgnęła mu ściśle do ciała. Trudno mu było oddychać. Przetarł oczy raz, drugi, ale wciąż widział to samo: z głów sędziów, woźnych, adwokatów... wyrastały rogi. Dłuższe lub krótsze, proste lub pokrętne, widniały jednak na głowach wszystkich. A spod ich ubiorów wyzierały ogony. Pisarz zrozumiał, że wszystkie miejsca na sali były zajęte przez diabłów. Poczul jak jego własne włosy podnoszą się do góry. Chciał się zerwać i uciekać, ale przerażenie przygniotło go do ławy.

Na sali tymczasem odbywała się ta sama co rano ceremonia. Rozległ się głos woźnego:

- Mości panowie, najjaśniejszy trybunał przywołuje do atentowania sprawy.

Wydawało się pisarzowi, że głos ten podobny jest do skrzeku sowy rdzawej, ale brzmiał on potężnie, odbijając się wielokrotnym echem po całym trybunalskim gmachu, jako że drzwi prowadzące do sali pozostały otwarte.

Marszałek podniósł laskę i uderzył nią o podium. Adwokat przyniósł akta pokrzywdzonej kobiety i stanąwszy przed kratkami czytał jeden dokument za drugim. Znów dały się słyszeć wykrętne i fałszywe sformułowania, które ściany te słyszały już rano. Wszystkie świadczyły na korzyść magnata. Były to bowiem te same akta, które zostały przedtem przygotowane przez przekupny Sąd. Novum w rozprawie zaczęło się dopiero od chwili, gdy wezwano drugiego adwokata. Jen przedstawiał racje wdowy i z całą znajomością prawa bronił jej sprawy. Po wysłuchaniu obu adwokatów sędziowie udali się na naradę.

Po naradzie, na której rozpatrzono argumenty obu stron, zarówno magnata, jak i wdowy, Marszałek odczytał werdykt. Dekret odrzucał pretensje magnata, uznawał krzywdę wdowy i jej w pełni przyznawał rację. Marszałek wezwał pisarza i kazał mu

pisać motywację wyroku. Pisarz, drżącą ze strachu ręką, z trudem kaligrafował słowa, które mu dyktowano. Kiedy dokument był gotowy. Marszałek przejrzał go starannie i położył na stole. Obok, jakby zamiast podpisu, odcisnął na nim swoją rozpaloną dłoń. Był to zaiste dziwny, niespotykany dotychczas w tej sali podpis. Podpis diabelski... Na grubym sosnowym blacie widniała wyraźnie czarna, diabelska ręka. W chwilę potem Marszałek wraz z całym swoim orszakiem szatańskim opuścił gmach Trybunału.

Następnego dnia urzędnicy trybunalscy, gdy weszli do sali rozpraw, zobaczyli niecodzienny widok. Tuż przy drzwiach leżał zemdlny pisarz. W świecznikach dopalały się świece. Na stole widniał arkusz pergaminu z nowym wyrokiem o sążone i poprzedniego dnia sprawy. Zdumieni i przestraszeni urzędnicy po przeczytaniu werdyktu, wybiegli na plac przed Trybunałem, głośno mówiąc o bezstronności i sprawiedliwości diabelskich sędziów.

Wiść dotarła szybko do sędziów trybunalskich. Marszałek, bojąc się, aby nocna wizyta nie powtórzyła się, zebrał cały skład sądu i powtórnie rozpatrzył sprawę. Tym razem sądzono sprawiedliwie. Wczorajszy wyrok zmieniono i wydano nowy, prawie jednobrzmiący z wyrokiem czartowskich sędziów. Wdowa otrzymała pełne zadośćuczynienie, magnat został zmuszony do naprawienia wszystkie wyrządzonych jej szkód i do zapłacenia grzywny.

A stół z gmachu Trybunału lubelskiego, przed którym wydali swój wyrok czartowscy sędziowie, można oglądać do dziś w holu Muzeum Okręgowego, na Zamku w Lublinie. Na stole widać czarny ślad diabelskiej ręki, wypalony ongiś, jako znak Marszałka Sądu prowadzącego nocną rozprawę. Stół ten przypomina wszystkim, że nie można igrać z krzywdą ludzką, a gdy już się ona dokonała, należy ją naprawić. Sprawiedliwość bowiem, ma zawsze znaczyć sprawiedliwość...

Zamek zawieprzycki

- Wszystko gotowe do drogi, Wasza Wielmożność - ugiął się w niskim ukłonie wierny kasztelański sługa, Ambroży, ukazując się w drzwiach zajazdu.

- Gotowe - powiadasz, a więc jedziemy.

Kasztelan wyciągnął rękę po kielich, jakby delectował ale jego urodą, podniósł powoli w górę i wychylił do dna.

- Jedziemy - powtórzył. O zachodzie słońca będziemy w domu. Kasztelan lubelski, Jan Granowski wracał po wyprawie wiedeńskiej do rodzinnych Zawieprzyc. Miał już za sobą daleką drogę i był zadowolony, że do domu już niedaleko. Radość jego była tym większa, że wiódł ze sobą bogaty łup. Orszak składał się z dziesiątków wozów wypełnionych po brzegi wszelakim dobrem odebranych Turkom. Cieszyła kasztelańskie oczy ta zdobycz. Jedwabie, aksamity, kobierce złotem tkane, namioty, przepyszne rzędy końskie, nabite drogimi kamieniami tak gęsto, że każdy z nich wart był kilku wsi, znakomite szable janczarskie z damasceńskiej stali, a w ozdobnych skrzyniach perły, srebra, złote łańcuchy. O licznych wschodnich kaftanach i innych strojach i wspominać nie warto. Tym bardziej, że zdobyczny orszak uzupełniały piękne konie, a także, rzadko widziane tutaj, wielbłądy i muły. Nie brakło też oczywiście okazałej gromady tureckich jeńców.

Wśród jeńców zwracała na siebie uwagę młoda para. Nie byli to ani Turcy, ani Tatarzy, ani mieszkańcy żadnego z licznych krajów podbitych przez ottomańskie imperium. Trzymali się razem, rozmawiali tylko między sobą. Na liczne pytania odpowiadali bardzo zwięźle, albo pomijali je milczeniem. Zdołano się jedynie dowiedzieć, że ojczyzną ich jest daleka, słoneczna Italia.

W czasie jednego z najazdów tureckich mieli nieszczęście dostać się do niewoli i oddani zostali w darze jednemu z wezyrów. Pewien jeniec turecki opowiadał, że młodzi pochodzą z wysokiego rodu - być może książęcego, gdyż czynione były starania o ich wykup. Przypuszczenia te potwierdzała postawa, maniery, zachowanie, których nawet trudne warunki życia w niewoli nie potrafiły zupełnie zniweczyć. Widać to było szczególnie u młodej Włoszki, której wspaniała południowa uroda jaśniała pełnym blaskiem mimo tylu nieszczęść, jakich zdążyła doświadczyć w swoim krótkim życiu.

Kiedy wzbogacony kasztelan przybył do Zawieprzyc uznał, że jego rodowa siedziba jest zbyt skromna w stosunku do bogactw, które posiadał i postanowił zbudować nowy zamek. Sprowadził planistów i muratorów, zaczęto zwozić materiały, rozpoczęła się budowa. Pieczę nad robotnikami i jeńcami powierzył Ambrożemu, ale i sam również często przychodził doglądać prac i cieszyć oczy rosnącymi murami.

Podczas jednego z takich przeglądów kasztelan dostrzegł piękną Włoszkę. Przywołał Ambrożego.

- A skądże ta piękna branka pod murami? Co wiesz o niej? Kto to jest?

- Była w wezyrowym orszaku - odpowiedział Ambroży. Zagarnęliśmy ją z kupą innych.

- To ona Turczynka?

- Nie. Powiadają, że pochodzi z Italii. I ten jej towarzysz. Mówią, że oboje z wysokiego rodu. Mają się ku sobie - zaśmiał się Ambroży.

- Z wysokiego rodu - powiadasz. Kasztelan pomyślał chwilę.

- Uwolnij ją od pracy – rozkazał. Powiedz służebnym, aby jej szatki dały zgrabne, godne jej postaci. I przyprowadzisz ją do mnie.

- Wedle rozkazu, Jaśnie Oświecony Panie - Ambroży skłonił się nisko i odszedł.

Ambroży szybkim krokiem udał się przed nowy pałac. Przekazał polecenie kasztelana nadzorcy i podszedłszy do Włoszki powiedział:

- Masz szczęście! nie będziesz pracować.

- Czy odzyskam wolność, czy wrócę do ojczyzny? - zmęczona twarz dziewczyny rozjaśniła się uśmiechem.

- Nie wiem czy wrócisz. Masz dostać nowe szaty i zamieszkać w pałacu. Spodobałaś się naszemu panu.

- A mój towarzysz? - zapytała dziewczyna.

- O nim nie było mowy. A ty ciesz się i myśl o sobie. Chodź!

Radość znikła z twarzy dziewczyny. Poszukała spojrzeniem swego rodaka, który z dala patrzył na tę scenę, nie rozumiejąc o co chodzi, poszła za Ambrożym.

Następnego dnia kasztelan kazał przyprowadzić ją do siebie. Włoszka w bogatej sukni, nowych pantofelkach, z utrefionymi włosami wyglądała bardzo pociągająco. Jej uroda zabłysła pełnym blaskiem. Kasztelan przyglądał się jej dłuższą chwilę i powiedział:

- Jesteś piękną dziewczyną. Dobrze ci w tych szatach. Te należą do ciebie. I będziesz miała jeszcze inne.

- Dzięki ci, panie - odpowiedziała zarumieniona dziewczyna. Nie zasłużyłam na te pochlebne słowa, A jeśli pan taki łaskaw dla mnie, chciałabym o coś zapytać. Czy mogę?

- Mów.

- Czy wolno mi będzie powrócić do domu?

- Do domu? - zaśmiał się kasztelan - tu może być twój dom. Jeśli będziesz dla mnie miła - dodał.

- Mój dom jest w Italii. Tam się urodziłam i tam chciałabym wrócić. Chciałabym także, aby wrócił ze mną mój towarzysz niewoli. On też jest Włochem.

- Co mi tam będziesz o tym Italczyku mówić - zirytował się kasztelan. Słyszałem o nich, że to naród układny, ale chytry. W wśród mężów niewieście panują obyczaje. A zresztą nie o niego mi chodzi a o ciebie.

- To bardzo dzielny i szlachetny człowiek - dziewczyna próbowała bronić przyjaciela.

Kasztelan nie zwracał uwagi na jej słowa. Podszedł bliżej i usiłował ją objąć. Włoszka wyrwała się jednak i umknęła w przeciwległy kąt komnaty. W oczach kasztelana, kiedy i następne jego usiłowania spełzły na niczym, ukazały się złe błyski.

- Mówiłem ci, żeby była miła - powiedział w końcu. Namyśl się. Od tego zależy twoja przyszłość, Teraz możesz odejść.

Biedna Włoszka wróciła do wyznaczonego dla niej pokoju. Tam siadła przy oknie i zaczęła gorzko płakać. Nadzieja na powrót do domu prysła. Tutaj, w pałacu, będzie mi jeszcze gorzej niż przedtem - myślała. Będę zupełnie sama.

Przez kilka następnych dni kasztelan zostawił dziewczynę w spokoju. A kiedy znów przyprowadzona została do jego komnaty, przekonał się, że wszelkie jego zabiegi idą

na marne. Nie pomogły świetne prezenty w postaci sznurów pereł i klejnotów. Włoszka mówiła tylko o chęci powrotu do domu, do ojczyzny. Pewnego wieczoru wyznała, że kocha swego wiernego towarzysza niedoli, młodego Włocha.

Kasztelan zawrzał gniewem. Jak to? - ta branka, którą uwolnił od ciężkiej pracy, obdarował szczodrą, woli jakiegoś tam nędznego Włocha, niewolnika, od niego - pana jej życia i śmierci.

Tego dumny magnat nie mógł ani znieść, ani pojąć i zrozumieć. Postanowił zemścić się na obojgu. Ją kazał zamknąć w wie ty ukończonego właśnie nowego zamku, a jego przykuć do taczki, polecając przewozić ciężary pod oknem uwięzionej.

Zaczęły płynąć smutne - długie dni. Oczy dziewczyny zawsze były pełne łez, serce - żalu i tęsknoty za ukochanym, za utraconą wolnością, za szczęśliwymi dniami lat dziecinnych. Tylko sen - przynosił ukojenie. Czasem zdarzały się szczęśliwe noce, kiedy marzenia senne przenosiły ją do dalekiej, słonecznej Florencji, do obszernego domu, otoczonego pięknym parkiem, do rodziców. Ale po takich snach powrót do rzeczywistości był jeszcze straszniejszy. Niewola, ponura wieża, a w dole codzienny, tragiczny widok ukochanego, coraz bardziej wyczerpanego ciężarem przykutych do jego rąk tacek.

Ciężki los kochającej się, a tak nieszczęśliwej młodej pary poruszył serca niektórych sług Granowskiego. Postanowili, pomóc im. Powstał plan ucieczki. Pewnej nocy o umówionej godzinie nie czekała na młodych łódź, która miała ich przewieźć na drugą stronę Wieprza. Księżniczce dostarczono klucze, którymi mogła otworzyć drzwi wieży, młodzieńca rozkuto z kajdan. Kiedy oboje byli już w łodzi, wydawało się, że upragniona wolność jest tuż, tuż... Ale złe fatum nie opuściło młodych ludzi. Kiedy łódź była już na środku rzeki, na brzegu zaroilo się od ludzi kasztelana. Czujny Ambroży odkrył ucieczkę i zarządził pościg. Nie pomogły wysiłki młodzieńca, który wiosłował z niespotykaną siłą, chcąc jak najszybciej osiągnąć drugi brzeg. Ludzie Ambrożego ujęli ich w przybrzeżnych zaroślach

Kiedy kasztelan dowiedział się o ucieczce, wpadł w straszny gniew i postanowił zemścić się okrutnie. Do jednej z bocznych sal zamku wezwał dwóch murarzy i kazał im w świeżym murze wykuć dwie nisze. Gdy murarze skończyli pracę, do komnaty wprowadzono więźniów.

W sali panowała cisza. W fotelu siedział Granowski, obok nisz stali murarze z kielniami w rękach. Na posadzce leżała sterta cegieł. Wszyscy zrozumieli, jaki był wyrok okrutnego magnata: więźniowie mieli być żywcem zamurowani. Księżniczka patrzyła przerażonymi oczami to na Granowskiego, to na wnęki w murze, wreszcie osunęła się zemdlna na podłogę. Widząc to jej towarzysz, który również dotąd milczał, padł na kolana i zwracając się do kasztelana zawołał:

- Oszczędź ją, panie. Ukarz tylko mnie. To moja wina. Oszczędź ją! ...

Granowski jednak nawet nie spojrzął w jego stronę. Odczekawszy chwilę, dał znak murarzom. Tymczasem księżniczka ocknęła się z omdlenia i o własnych siłach podniosła się. Z twarzy jej znikła trwoga, wzrok miała spokojny. Ostatni raz spojrzała czule na ukochanego. W chwilę później oboje stali w przygotowanych dla siebie miejscach. Murarze przystąpili do swego straszego dzieła. Po paru minutach w miejscu nisz pozostał tylko siad świeżego wapna.

Niemym świadkiem tej sceny był pewien malarz, Włoch sprowadzony do Zawieprzyc w celu wymalowania obrazów do nowo wzniesionej kaplicy. Patrzył na wszystko, co się stało uważnymi oczami. Z komnaty, miejsca kaźni, wyszedł ostatni. Przy drzwiach jeszcze raz odwrócił się, spojrzął za siebie. W tej chwili ostatnie promienie zachodzącego słońca padały przez okno na ścianę śmierci. Mur w tym świetle wydawał się jakby krwawy.

Po powrocie do swojej pracowni malarz zamknął się, ponaciągał płótna i zabrał się gorączkowo do pracy. Wychodził rzadko, za każdym razem starannie okrywając sztalugi i dokładnie zamykając drzwi. Trwało tak, kilka dni. Zniecierpliwiony kasztelan zapragnął zobaczyć obrazy. Malarz odpowiedział, że praca nie jest jeszcze skończona.

- Wkrótce obrazy będą gotowe - dodał uspokajająco, widząc, że Granowski chce wejść do pracowni.

- Dobrze, ale śpiesz się, Chcę, aby kaplica zajaśniała pełnym blaskiem, godnym całego mojego zamku.

- Spieszę się - powiedział na zakończenie rozmowy malarz. I znowu nikomu nie pozwalał przekroczyć progu pracowni.. Minęło jednak jeszcze kilka dni, a praca ciągle nie była ukończona. Kasztelan postanowił zobaczyć, co się dzieje w pracowni. Pomimo protestów malarza, on i jego świta weszli do wewnątrz. Kasztelan kazał sługom odkryć sztalugi. I wtedy wszyscy cofnęli się przerażeni. Na wszystkich płótnach widniały sceny przedstawiające tragiczne dzieje młodej pary książęcej. Z ostatniego obrazu patrzyły na obecnych piękne, spokojne oczy zamurowanej dziewczyny.

Granowski stał przez chwilę nieruchomy, a potem nagłym ruchem strącił obraz na podłogę.

- Brać go! - krzyknął, wskazując na malarza. Zniszczyć całą pracownię. Aby śladu po niej nie zostało. Obrazy spalić!

Tego samego popołudnia murarze, obok dawnych dwu, wykuwali nową niszę. Razem z dwiema poprzednimi ofiarami miała być zamurowana trzecia - malarz. Ten, który chciał upamiętnić tragedię swoich rodaków, miał umrzeć tą samą śmiercią.

Dzieła malarza nie potrafili jednak zniszczyć ani kasztelan, ani jego słudzy. Od tego dnia, kiedy dokonana się ostatnia zbrodnia pysznego i okrutnego magnata, na ścianach komnaty kryjącej ciała pomordowanych, w blaskach zachodzącego słońca ukazywały się kolejno wszystkie tragiczne obrazy, przedstawione na płótnach malarza. Upiorny seans powtarzał się każdego wieczoru.

Granowski w przerażeniu uciekł z zamku, porzucając wszystkie swoje bogactwa. Do końca życia nie zaznał już spokoju. Gnany lękiem z miejsca na miejsce, tułał się od wsi do wsi, od miasta do miasta, aż wreszcie, potępiony przez wszystkich umarł.

Taki jest bowiem los tych, którzy zaślepieni bogactwem i chwilową potęgą skazują innych na cierpienie i śmierć.

Zadorowy skarb

Orszak powoli wynurzał się z lasu. Nisko nad horyzontem zawieszona słońce krwawiło jaskrawym blaskiem ostatnich promieni wierzchołki drzew. Jeden z Jeźdźców ścisną ostrogami brzuch konia i w chwili potem minął ostatnie drzewa. Przed nim, jak na dłoni, widać było miasto. Na murach i dachach jeszcze jaskrawiej niż w lesie lśniło słońce. Na prawo, niżej kładły się coraz gęściej wieczorne cienie.

Jeździec uniósł się w strzemionach, odrzucił czapę z czoła i spojrzął wokół dumnym, posępnym wzrokiem.

- A więc jestem tu znowu. Jestem znowu... - powtórzył ciszej.

I nie wiadomo było, komu to chciał powiedzieć: czy sobie, czy miastu leżącemu w dole, czy swoim towarzyszom. I oni już bowiem wyjechali z lasu.

Przybysz patrzył ciągle na miasto. W pewnej chwili jakieś wspomnienie umąciło mu myśli. Twarz jego sposepniała jeszcze bardziej. Ale trwało to krótko.

- Drugi raz mnie nie wygnają - powiedział głośno. Do razu sztuka.

W oczach zapaliły mu się dzikie błyski.

- Pohulamy sobie znów, pohulamy. Przypomnimy dawne czasy. Za mną - zwrócił się do swojej świty. Jedziemy! Zadudniły kolskie kopyta, orszak ruszył w stronę miasta. Zedorę, pana na Lubomli, niczego nie nauczyło wygnanie.

Przed laty uszedł z kraju na Węgry skazany wyrokiem lubelskiego trybunału za niezliczone burdy i wszelakie gwałty. Zła sława lubomelskiego panu, znana na Lubelszczyźnie i w sąsiednich województwach, rozlała się szeroko po kraju, W chatach chłopskich, zaściankach i dworach płakały kobiety, zaciskali pięści mężowie. Na drogach i w zajazdach gęślarze śpiewali smutne pieśni o złym panu.

Zadora stał jeszcze na wzgórzu, kiedy spoza konnego orszaku zaczęły zjeżdżać w dół zaprzężone w woły wozy, załadowane aż po wierzch skarbami zdobytymi na Węgrzech. Zadora patrzyła na wozy długą chwilę.

- Tylko część tego złota wystarczy, aby sędziowie trybunalscy zmienili swoje wyroki - pomyślał. Tylko część - usta wykrzywił grymas ni to śmiechu, ni to pychy. Reszta zostanie przy mnie.

Kiedy karawana koni i wozów znowu wjechała w las, było już prawie zupełnie ciemno. Konie przedzierały się wolno przez gęste poszycie boru, aż nagle zaczęły strzyc uszami i bez rozkazu stanęły. Skrzypiąc wielkimi kołami, zatrzymały się również wozy. W zupełnie cichym do niedawna lesie dały się słyszeć jakieś liczne stapania. Jeszcze chwila, a przed orszakiem ukazała się, jak spod ziemi wyrosła, wysoka, siwowłosa postać ślepcy.

- Stój, zły panie - zawołał ślepiec. Stój! Nareszcie cię znalazłem po latach poszukiwań. Zapewne chcesz wiedzieć, kto jestem? - Jam jest Paweł Kwanta, któremuś ty wyłupił oczy, odebrał możliwość patrzenia na świat, zabrawszy wprzód z żonę.

- Myślałeś, że ucieczka uratuje cię, że unikniesz kary. Omyliłeś się jednak - dzisiaj zdasz rachunek ze swoich czynów. Głos starca potężniał w miarę mówienia: Dziś zginiesz i zginą skarby twoje. Nie będą dalej służyły złu. Krzywdy muszą być pomszczono. Wyrok na ciebie wydali ci, którym przysporzyłeś - tyle zła i niedoli, tyle łez, że rzeka z nich mogłaby popłynąć.

Zadora jakby wrósł w konia, jak zahipnotyzowany patrzył na starca. Wydawało mu się, że nie jego widzi, a swoje dotychczasowe życie. Zobaczył piękną żonę Kwanty, którą porwał z domu męża i zniewolił, mimo jej desperackiego oporu. Kiedy Kwanta wraz z rodziną błagał go później o oddanie żony, mówiąc, że nie może patrzeć na jej despekt i krzywdę, Zadora zaśmiał się tylko: - nie możesz patrzeć, a więc nie patrz! Skinął na sługi swoje i kazał wyłupić nieszczęsnemu mężowi oczy. Oślepionego, zalanego krwią, poszczuł psami.

A oto drugi obraz: - kiedy w potrzebie wojennej, jego towarzysz, Mikołaj Borucki dostał się do niewoli, Zadora przedstawił swoje pośrednictwo jego rodzinie w sprawie wykupu jeńca od Turków. Pieniądze w dobrach, złotych talarach wziął, zatrzymał je sobie, a wysłańca, który miał jechać do Stambułu, kazał potajemnie zabić. Rodzinę zaś powiadomił, że człowiek ów od zabójców w drodze zginął.

Od sąsiada, kiedy był w potrzebie pożyczył poważną sumę pieniędzy, pod zastaw rodzinnego srebra. Później zasadził się na niego ze zbrojną czeladzią, zastaw odebrał, a dobroczyńcę posiekanego szablami, ledwo z duszą puścił.

Innemu w takiej samej sytuacji gorzej się powiodło. Zadora podpalił mu w nocy dom. Drewniany, stary dwór tak szybko ogarnęły płomienie, że nikt z domowników z życiem nie uszedł - wszyscy spalili się żywcem.

Na końcu jawiła mu się twarz chłopca, któremu hiszpańskie buty kazał założyć na nogi za to tylko, że zbierał jesienią chrust w jego lesie. Tę straszną torturę stosowano tylko wobec największych zbrodniarzy. Zadora zaś trzymając w ręku kielich wina, za każdym łykiem, który wypijał, kazał przykręcać śruby onych butów, które swoimi zębami łamały kości, zadając ból straszliwy. Kiedy z nóg nieszczęśnika zostały tylko strzępy Zadora polecił odesłać go do wsi z przykazaniem, by ogłoszono, że każdego taki los spotka każdego, kto ośmieli się okradać jego, pański las.

Te wszystkie obrazy, jak błyskawice przemknęły przez myśli Zadory. Otarł ręką pot, obficie zraszający mu czoło i oczy jego spotkały się z niewidzącymi oczami starca. Zadorze wydawało się jednak, że ten straszny starzec widzi go. Odwrócił wzrok od jego twarzy, sięgnął szybkim ruchem do boku. Ale starzec był szybszy, Jego wyczulony słuch ślepeca działał sprawniej niż u normalnych ludzi. Usłyszał zaciskanie się prawicy Zadory na rękojeści miecza i jednym skokiem był już przy nim. Z nadludzką siłą ścisnął dłoń Zadory, tak, że na współ wyciągnięty miecz upadł na ziemię.

- Precz przeklęty starcze! Brać gol - krzyknął Zadora do swoich ludzi. Ale ślepiec wyprostował się i zawołał; - Bracia, ludu uciemieżony, Nędzo, Biedo, Krzywdo, Niedolo, Udreko - do mnie!

Na zawołanie starca spod drzew wysunęła się cała chmara dziwacznych postaci ledwo odzianych w nędzne łachmany.

Pana na Lubomli i jego towarzyszy ogarnął nieopisany strach. Rzucili się do ucieczki. Zagubili drogę i wszyscy poginęli w ciemnościach w pobliskich mokradłach. Na polanie w lesie pozostały tylko wozy pełne skarbów.

Zapadła noc. Las szumiał, jakby opowiadał o tym, co się tu niedawno stało.

Na drugi dzień o świcie strażnicy miejscy obchodzący ulice Lublina, natknęli się przed ratuszem na załadowane wozy. Kiedy zwolnili powrozy, którymi były opasane,

oczom ich ukazały się wielkie sztaby złota, kielichy wysadzone diamentami, kolie, łańcuchy złote i srebrne, sznury pereł, szczerozłote rzędy, szkatuły pełne złotych monet. Zdumieni strażnicy zawiadomili o znalezieniu skarbu ojców miasta. Kiedy rajcowie przybyli pod ratusz, zdumieli się równie wielce, jak strażnicy. Długo radzili, co począć ze skarbem. Wreszcie jeden z nich, Semko, cieszący się ogólnym poważaniem, powiedział:

- Rozważaliśmy długo, co zrobić z tymi skarbami. Wszyscy zabrali głos. Proponuje, aby trzy czwarte skarbu rozdzielić pomiędzy najbiedniejszych naszych mieszkańców, reszta niech pójdzie na dokończenie budowy kościoła Bernardynów i na ogólne potrzeby naszego grodu.

I tak się też stało. Rzadko bowiem się zdarza, aby skarby zdobyte w nieprawy sposób służyły długo tym, którzy dzięki nim chcieliby dalej czynić nieprawość.

Firlejowskie jezioro

Ranna mgła podnosiła się wolno ku górze. Jak okiem sięgnąć wokół dominował szafir, Mgła, olbrzymia, niczym niezmacona tafla wody i granat nieba jaśniejący z sekundy na sekundę, prześwietlony pierwszymi promieniami wschodzącego słońca. Wydawać by się mogło, że u stóp leży nie wielkie, cudowne jezioro, a jakieś przezrocyste, dziwne, ukształtowane przez naturę z nieznanego kruszcu, uroczysko.

Cisza nad jeziorem ogromna, wszechogarniająca. Nawet liście drzew osiki, które zwartą kolonią przysiadły tuż przy brzegu zwisają w bezruchu. Ten spokój nie trwa jednak długo. Dzieje się tak tylko przez krótką chwilę, wtedy, kiedy następuje przesilenie dnia z nocą, kiedy pierwsze promienie słońca nie dotykają jeszcze olbrzymich, starych dębów, kiedy nie błyszczą soczystą zielenią wierzchołki wysokich, wysmukłych jodeł. Nad jeziorem szybko zaczyna budzić się życie. Słychać pierwsze głosy ptaków, szmer kroków saren gaszących przy brzegu pragnienie, szum sitowia ogarniający wodę i ziemię pulsującą to silniej, to słabiej tajemną melodią.

Na jeziorze, w drewnianej łodzi siedział pochylony stary rybak. W obu rękach trzymał sieć, niedawno zarzuconą w wodę. Teraz sieć była na wpół wyciągnięta z toni. Co chwila cieniuteńkie warstewki wody pękały w jej sznurowaniach i lekką mgiełką spadały z powrotem do jeziora. Sieć nie była pusta...

Rybak jednak nie wyciągał jej do łodzi. Ręce mu drżały, wydawało się, że nie utrzymują ciężaru. Czyżby połów był tak obfity? Oczy rybaka wpatrzone były w jeden punkt. Na samym końcu sieci widać było omotany mocnymi konopnymi nićmi jakiś przedmiot.

- Złoto - szepnął, czy tylko pomyślał rybak.

Drżące ruchy jego rąk poruszały siecią i wtedy złoto błyszczało dodatkowym blaskiem osadzonych w nim drogich kamieni. Czoło rybaka zrosił pot. Ostatnim spojrzeniem ogarnął swoją zdobycz. Nagle uniósł się szybko, stanął wyprostowany i mocnym, zdecydowanym ruchem wepchnął sieć głęboko w wodę.

- Giń przeklęty skarbie - krzyknął. Giń i nie wracaj!

Łódź zakołysała się, sieć poszła na dno, a wokół zaczęły się rozchodzić lekkie fale o kolistym kształcie. Wody jeziora wzburzyły się nieco, ale już po chwili były znów gładkie i przezrocyste i tak, jak zawsze nieprzeniknione i tajemnicze.

- Przeklęte skarby - szepnął po raz drugi rybak i jednym uderzeniem wiosła cofnął łódź ku brzegowi. Kiedyż to jezioro zapomni o swoich dawnych dziejach? - pomyślał jeszcze, patrząc na puste naczynie na ryby.

- Chyba nigdy, chyba nigdy... - dał się słyszeć jakiś głos.

Rybak obejrzał się lekko przestraszony: któż to mógł odpowiadać na jego myśli? Ale jezioro było puste. Nad wodą szumiało tylko sitowie..

Jezioro Firlej rzadko zdradza swoje tajemnice.

Dawno, bardzo dawno temu, w miejscu, gdzie obecnie rozlewają się szeroko wody jeziora, stało ludne, bogate miasto. W środku wznoszą się dumnie obronny kasztel, którym władał bogaty i bitny, ale zły i okrutny pan. A bogactwa miasta nie pochodziły z zapobiegliwości jego mieszkańców, ale z łupieżczych wypraw i ciężkiej pracy

sprowadzonych niewolników.

Często na zamek ciągnęły ciężkie wozy zaprzężone w dwa albo i w cztery konie, naładowane zrabowanym dobrem. Czegóż tam nie było...

Kanaki - po koronie uważane powszechnie za najwspanialszy klejnot. Kufry pełne złota i pereł, bogato rzeźbione kamee, majoliki, ozdobne przedmioty z hebanu, trociczki wonne, piękne opończe, ogromne trybowane roztruchany, a także przeróżne maskary, na które ludzie patrzyli z podziwem, ale i ze strachem. W specjalnych szkatułach wieziono korzeń mandragory. Szkatuły te otwierał sam książę i nikt nie miał do nich dostępu. Szeptano po pokojach i wśród ludu, że książę czyni praktyki czarodziejskie, z tego korzenia czerpie swoją moc. Jakie to były praktyki, nikt nie wiedział. Do komnaty w wieży zamkowej, w której wszystkie ściany i sufit przyozdobione były rzeźbionymi i haftowanymi meluzynami - ptakami łaknącymi krwi - nikt nie miał dostępu. Tam właśnie stały szkatuły z mandragorą. Kiedy pewnego dnia do komnaty tej wszedł zaufany księcia, Demko, padł trupem na miejscu. Ciało jego najpierw szerniało, a potem zmieniawszy się w proch, pozostało jako ciemna plama na marmurowej posadzce.

Często także na zamku odbywały się uczyty. Kasztel gorzał wtedy światłami, stoły uginały się od złotych i kryształowych naczyń, dworzanie mieli za obowiązek ubierania się w swoje najbogatsze szaty. Jeśli ktoś, zdaniem księcia, przyszedł ubrany za skromnie, popadał w niełaskę. Dlatego też niewiasty dworskie, na które książę zwracał szczególną uwagę, wchodziły na salę tak obciążone złotymi koliaми, łańcuchami na szyję, naramiennikami, złotymi i srebrnymi frędzlami, klejnotami i perłami, że gdyby ich nie podtrzymywano za ramiona, nie mogłyby udźwignąć takiego ciężaru kruszców.

Książę siedział u końca stołu na specjalnym podwyższeniu obitym szkarłatnym sukniem. Sam również ubrany był w bogaty, szkarłatny strój. Pochodnie, których najwięcej było w tej części sali, płonęły jaskrawym blaskiem, tak że wydawało się, że i twarz jego jest również koloru szkarłatu. Jednym spojrzeniem pełnym dumy i pychy obrzucił swoich gości i dał znak ręką. Rozpocząła się uczta.

Kielichy napełniły się winem i miodem. Wznoszono toasty. Co chwila wtaczano nowe baryłki. Książę był w dobrym humorze. Ulubieńcom swoim rzucał podarki. To puchar złoty, to łańcuch, to pierścień. Obdarowani dziękowali głośno, kielichy krążyły coraz gęściej, z czupryn coraz bardziej się kurzyło. Muzyka stawała się coraz głośniejsza, śpiewy coraz dziksze.

W pewnej chwili książę zauważył, że jeden z obdarowanych dworzan, Żetysław, nie wychylił pucharu do dna. W oczach księcia zamigotały złe błyski.

- Cóż, Żetysławie, nie pijesz za moje zdrowie? - zapytał. Żetysław pobladł i podniósł drżącą ręką puchar do ust. Był już jednak tak pijany, że wino rozlało mu się po twarzy. Widząc to książę odpiął od pasa krótki zakrzywiony kindżał o rękojeści gęsto nabitej diamentami. Potrzyzymał go chwilę w dłoni i rzucił w stronę Dagomyra, swego przybocznego sługi.

- To dla ciebie - rzeki. Naucz go, jak należy szanować swego pana. Dagomyr chwycił kindżał w locie i podszedł do Żetysława. Jeden szybki ruch i klinga aż po rękojeść utkwiała w gardle Żetysława. Odbyło się to tak szybko, że nieszczęsny skazaniec nie zdołał nawet wydać dźwięku. Dagomyr wyciągnął sztylet i w krwawiącą

ranę wlał dzban pełen wina.

- Dobry z ciebie sługa - pochwalił księżę Dagomyra. Zasługujesz na to - śmiał się rzucając mu w podarunku jeszcze dwa złote łańcuchy.

Reszta dworzan, choć pobladła ze strachu, także się śmiała. Tylko żona Żetysława, Denka, stała jak skamieniała, patrząc na zamordowanego męża. Zaprzyjaźniona z nią dworka zrobiła krok naprzód, aby ją podtrzymać, ale w tej chwili dojrzał nieszczęsną księżę.

- Jego wyrzucić za palisadę - rozkazał. Niech i psy mają ucztę. A ją - wskazał na Denkę - oddać niewolnikom. A wy - zwrócił się do reszty biesiadników, zagrajcie w kości: - kto wygra, do tego należą dobra złego sługi.

Zemdloną Denkę i jej męża szybko wyniesiono z sali. Znów odezwała się muzyka, znów wychylano kielichy. Rozmowy przeradzały się w krzyki. Słowa stawały się coraz bardziej sprośne i rozpustne. Nierzadko w gniewnym uniesieniu w rękach zaciecierzewionych biesiadników błyskały obnażone sztylety jako najskuteczniejszy i ostateczny argument. Okaleczonych, wśród krzyków, śmiechu, bicia pucharami i misami o stoły i sprzęty, wynoszono lub ciągnięte po, zasypanej porozbijanymi kryształami, podłodze i wyrzucano na dziedziniec.

Na horyzoncie zaczęły ukazywać się pierwsze promienie słońca. Ale na zamku nic się nie zmieniło. Uczta trwała nadal...

W tym samym czasie słudzy księcia podrywali ze snu niezliczone gromady niewolników. Pracowali oni ciężko od świtu do późnej nocy, aby upiększyć stolicę okrutnego księcia. Budowali domy, które były wspaniałymi pałacami, umacniali mury obronne, zakładali parki. Pracowali bez przerwy, żywieni nędznie i rzadko. Tyle tylko, aby mogli utrzymać się przy życiu, aby mogli służyć swoim panom. Czasami któryś z nich usiłował podnieść bunt, ale zawsze bezskutecznie. Dozorcy byli silniejsi. Każda próba nieposłuszeństwa kończyła się śmiercią nieszczęśliwych.

Wieść o krzywdę tysięcy ludzi rozprzestrzeniała się coraz szerzej. Ćwierkały o niej ptaki na drzewach, przenosił ją wysoko w górze wiatr, sphywała wraz z wodami strumieni, wzbogaconymi przez łzy, do rzek i jeszcze dalej, hen, do dalekiego Bałtyku.

Słuchał Bałtyk tych skarg niesionych przez wody i wiatry. Słuchał i coraz częściej jego spokojne wody burzyły się gniewnie. Wreszcie miara krzywd przebrała się. Zaszumił potężnie wiatr od morza. Błysnęły błyskawice, rozgniewane fale spiętrzyły się wydawało się, że sięgają chmur. Pioruny uderzyły jeden po drugim, spiętrzone fale z ogromną siłą uderzyły o dno. Uderzenie było tak potężne, że przód... słusznym gniewem Bałtyku rozstąpiła się ziemia, formując podziemny korytarz. Wartka struga wdarła się w szczelinę i popłynęła w stronę niedobrego miasta. Tutaj zatrzymała się przed zamkiem. Trysnęła w górę. Nic jej nie mogło zatrzymać. Zamek i wszystkie budowle podmyte wodą zaczęły pękać i rozpadać się.

A wody wciąż przybierało... Wkrótce po pysznym mieście nie zostało ani śladu. Wszystko pokryła ogromna masa wody, która po spełnieniu swego zadania, zamieniła się w spokojną, przezroczystą taflę jeziora.

Od złych sił silniejsze są bowiem siły dobra. Biada tym, którzy tego nie rozumieją. Jedna bowiem kropla przepelnia kielich. Jedna kolejna krzywda poruszy spokojne

wody i zamieni w niszczący huragan.

Mistrz Węgorek

Powiedzenie „pije jak szewc” znane jest powszechnie. Ale tylko w powiecie puławskim usłyszeć można „pije jak mistrz Węgorek”. Widocznie ów Węgorek był nie lada pijakiem, że wyparł przysłowiowego szewca i stał się symbolem pijackiego nałogu.

Było to dawno, parę setek lat temu. We wsiach puławskich zjawiał się pewnego dnia jakiś dziwny człowiek. Skąd przybył nikt nie wiedział. Przybysz niechętnie opowiadał o sobie. Ale pokazywał takie cuda, że ludziom wprost wierzyć się nie chciało, iż ze zwykłej gliny można je było wykonać. Małe i duże figurki wyglądały jakby wyszły spod ręki czarodzieja. Każdy załamek sukni, każda zmarszczka na twarzy, każdy niemal włos na głowie były jak prawdziwe. Wydawało się, że figurki te za chwilę ożyją. Ludzie kupowali piękne cacka, a sława Węgorka rosła z każdym dniem. Zaczęto go nazywać mistrzem, choć żadnych szkół nie kończył, a tylko od dziecka miał dziwną zręczność w palcach i wielkie zamiłowanie do rzeźby.

Usłyszała o nim dziedziczka Kluczkowic i poleciła go sprowadzić, by wyrzeźbił sztukaterie w pałacu. Bał mu też zamówienie proboszcz z Wrzelowca. Zainteresował się artystą trumniarz z Opola i zaproponował, by wyrzeźbił mu kilka pomników. Węgorek był coraz sławniejszy i nie zbywało mu na niczym. Im więcej jednak zarabiał, tym częściej zaczął zaglądać do pobliskich karczem. Najpierw po skończonej robocie, potem już nic bacząc na zobowiązania i wyznaczone mu terminy, przesiadywał w karczmach od rana do wieczora, pijąc na umór.

Wymyślał też różne zabawy pijackie. Wzywał na przykład swoich kompanów do zawodów, które polegały na tym, kto więcej kielichów wychyli. Najchętniej zekładał się z przyjezdnymi, a już podпиты gośćmi, którzy nie znali jego umiejętności w tej materii. Kto przegrywał, musiał stawiać wódkę dla wszystkich obecnych w karczmie w takiej ilości, w jakiej tylko chcieli.

Innym znów razem kazał toczyć po podłodze baryłkę wina z otwartym kranikiem. Zabawa polegała na tym, że kolejni biesiadnicy podstawiali szklanice pod toczącą się byryłkę i musieli zdążyć wypić jej zawartość do dna, do chwili, gdy baryłka powróciła do swego poprzedniego położenia. Kto nie zdążył, płacił za całą baryłkę wina.

Zdarzyło się też, że Węgorek wypiwszy pół wiadro wódki, odstawił je na stół i powiedział: dość mam tego picia na stojąco. Jeżeli chcecie, to wam pokażę, jak się pije na dachu. W karczmie odezwały się wątpiące głosy. Wtedy Węgórek wziął wiadro i po belkowaniu dc tarł na dach. Na szczycie siadł okrakiem, przytknął wiadro do ust i wychylił do dna. Z góry popatrzył dumnie na zgromadzony tłum i rzuciła naczynie między ludzi. W chwilę potem, o własnych siłach, zszedł na podwórzec.

Ale wszystko ma swój koniec. Po kilku latach takiego życia Węgorek zmarnował sobie zdrowie. Nie mógł ani wiele pić, ani dobrze pracować. Jak przedtem cieszył się sławą dobrego majstra, tak teraz została mu tylko smutna sława pijaka. Stał się pośmiewiskiem dorosłych i dzieci, wytykano go palcami i zamykano przed nim drzwi. Ludzie bali się zlecać mu pracę, bo zaliczki przepijał, a zamówień nie wykonywał. Jeden tylko trumniarz z Opola znalazł na niego sposób. W czasie pracy u siebie żywił

go, pieniądze wypłacał po skończonej robocie, a następnie udzielał mu tygodniowego urlopu. Węgorek spędzał wolny tydzień w karczmie, po przepiciu wszystkich pieniędzy wracał do trumniarza, by zarobić na nowe pijaństwo. Zdarzało się także, że w czasie tygodniowego urlopu zabrakło mu pieniędzy na wódkę. Wtedy chodził od chaty do chaty lub wędrował na odpust, sprzedając figurki i marząc tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć kupca i za zdobyte pieniądze zwilżyć wódką swoje spragnione gardło. Kupców jednak nie było wielu, gdyż nikt nie chciał dawać pieniędzy człowiekowi, który trwonił je na wódkę.

Pewnego razu Węgorek sprzedał jednak na odpuście większą ilość figurek. Natychmiast skierował się do karczmy, by uczcić godnie taką okazję. Pił zachłannie, a gdy zmierzch zapadał, wyszedł z karczmy. W kieszeni nie miał grosza z zarobionych tego dnia pieniędzy. Pijany nie uszedł jednak daleko. Padł pod pobliskim płotem i więcej już nie powstał. Zmarł z nadmiernego spożycia alkoholu, pogardzany przez ludzi. Pamięć o nim pozostała jako o człowieku, który przez wódkę zmarnował wielki talent.

Od tej chwili popularne stało się nad Wisłą powiedzenie: „pije jak mistrz Węgorek”.

Szkoda mistrza Węgorka, tak jak szkoda wszystkich tych, którzy przez alkohol stracili talent, możliwość bycia użytecznymi dla ludzi, sens własnego istnienia.

Kamień nieszczęścia

Słynęła na całą okolicę mieszcząca się w Rynku lubelskim winiarnia Jana Gąski. Słynęła winami przednimi - węgryzmem i burgundem, rodzimym miodem i gdańską wódką, uczciwością gospodarza. Winiarz bowiem nie tylko pamiętał, ale i stosował w życiu rotę przysięgi, jaką złożył przed starszymi swego cechu. A rota ta brzmiała tak: „Ja, Jan Gąska, przysięgam, że te wszystkie wina, jakie w danej chwili mam w swojej piwnicy także zostaną zachowane i niczym ich przyprawiać nie będę, aby cenę wyższą uzyskać. Za wino podlejsze nigdy ceny wyższej nie wezmę. Którekolwiek wino kupię - węgierskie, gubińskie, rakuskie, czeskie, morawskie lub jakiegokolwiek inne - przednie, średnie albo podlejsze zawsze będę je sprzedawał takim, jakim jest. Nie będę też nigdy win mieszać, ani odmieniać, ani dawać mu innej nazwy”

Winiarnia Gąski, poza zaletami swoich piwnic słynęła także urodą żony gospodarza, Basi. Mówiono, że Gąska przywiózł żonę aż z Węgier, wracając stamtąd z zapasami wina. Basia, wzrostu słusznego jak na niewiastę, oczy miała czarne, płeć białą, spojrzenie otwarte i śmiało, wyróżniała się wyglądem od innych mieszczek. Wielu zazdrościło Gąsce żony - ona była jednak wierna mężowi i nie dawała do siebie dostępu nikomu.

Pewnego dnia odwiedził winiarnię wojewoda lubelski. I on również zwrócił uwagę na piękną gospodynię, Basia, choć grzeczna dla możnego magnata, nie reagowała nawet gestem na zaloty dumnego pana. Urażony karmazyn postanowił zdobyć ją z wolą jej lub bez niej. Winiarnię odwiedzał coraz częściej, urządzając w niej wspaniałe uczy. Kiedy przebywał ze swoją kompanią, rozstawiano stoły przez całą izbę. Co chwile zmieniano wielkie srebrne misy pełne szynek, wędlin, marynatów, przemyślnie przyprawionych kasz i ulubionej potrawy wojewodzińskiej tzw. hultajskiego bigosu. Na bocznych stolikach stały wina i trunki - zarówno te, które posiadał w swej piwnicy Gąska, jak i te, które woził z sobą wojewoda. A więc wódki - gdańskie i domowe, araki, rumy, wina, piwo. Osobno podawano kandyzowane i smażone konfitury, owoce krajowe i obce oraz wszelkiego rodzaju inne łakocie. W czasie jednej z takich uczt magnat kazał swoim kompanom szczególnie traktować gospodarza. Coraz inny z nich podchodził do Gąski i wychylał z nim jakiś toast wielkim kielichem. Chociaż winiarz miał mocną głowę i starał się wzbraniać od zbytniego picia, na nic się zdały jego opory. Gdy wychylił jeden kielich, natychmiast nalewano mu drugi. Gąska, czując, że coraz bardziej mąci mu się w głowie, usiłował schować się w komorze. Niewiele mu to jednak pomogło. Znalaziono go tam i przywleczono przed oblicze wojewody.

- Nie chcesz pić w tak znakomitej kompanii? - zapytał.

- Chcę, ale już nie mogę, jaśnie wielmożny panie - Gąska chciał się pochylić w ukłon, ale gdyby go nie podtrzymano, upadłby na podłogę.

- Dobrze - powiedział magnat, patrząc na niego drwiąco. Ale jeszcze raz wypijesz. Dajcie mój ulubiony puchar - zwrócił się do swojej świty.

W jednej chwili stanęło na stole kryształowe naczynie. Zmieściło by się w nim pewnie pół garnca wina.

- Należycie, do pełna. A ty pij. Pij zdrowie swojej pięknej żony!

Gąska spojrzął na puchar, ujął go obiema rękami i podniósł do ust. Upił trochę i

postawił go na stole.

- Nie mogę - wyjąkał.

- Nie możesz wypić zdrowia swojej żony? - zaśmiał się karmazyn. Pomóżcie mu!

Natychmiast dwóch ludzi chwyciło Gąskę za ramiona, a trzeci odchyliwszy mu głowę, wlał całą zawartość pucharu do gardła. Gaska cofnął się o krok w tył, zakotłosał się i runął nieprzytomny na podłogę.

Wojewoda rozglądnął się po izbie. W kącie stała nieruchomo, wpatrzona w męża, Basia.

- Brać ją! - krzyknął. Jedziemy!

Magnat wywiózł Basię daleko od Lublina, do jednego ze swoich zamków. Na nic się jednak zdały piękne suknie i bogate podarki. Wierna mężowi, nie chciała być powolna dumnemu i pewnemu siebie panu. Dnie i noce spędzała we wspaniale umeblowanej komnacie, nie chcąc nikogo widzieć, pogrążona w rozpacz. Na wojewodzińskie zaloty odpowiadała wielokrotnie powtarzanym zdaniem: - chcę wrócić do męża, chcę wrócić do męża... I zalewała się łzami.

Zniecierpliwiony uporem kobiety dumny pan powiedział wreszcie z gniewem: gdybyś była dla mnie miła, wróciłabyś kiedyś do swojej, winiarni, a tak - nigdy nie zobaczysz męża. Zostaniesz tu na zawsze. Okrutny wyrok magnata spełnił się tylko w części. Basi pewnej nocy udało się opuścić zamek, ale nie znając drogi, uciekając w trwodze, utonęła oplatana szuwarami w pobliskim jeziorze. Słudzy zamkowi, którzy spostrzegli ucieczkę Basi, goniąc ją usłyszeli tylko, jak nieszczęsna kobieta w ostatnią godzinę życia pozwała na Sąd Boży swego prześladowcę. To były jej ostatnie słowa, które powtarzane z ust do ust, szeroko rozeszły się po okolicy.

Słowa o Sądzie Bożym dotarły wreszcie i do Jana Gąski. Już przedtem usiłował on szukać sprawiedliwości w sądzie starościńskim i w Trybunale, ale zawsze bezskutecznie: magnackie pieniądze wymowniej przemawiały do sędziowskich sumień aniżeli krzywda chudopachołka. Tym bardziej, że sam wojewoda i przekupieni świadkowie twierdzili, że Basia porzuciła męża i dobrowolnie przybyła do magnackiego zamku.

Na Sąd Boży musiał się stawić każdy, nawet i karmazyn. Spór miała rozstrzygnąć próba topora: kto uderzony toporem katowskim, nie zginie od razu - jest niewinny. Wtedy zginąć musi drugi z przeciwników. Wojewoda, wiedząc, że jest winien, zląkł się wyników próby. Chcąc zachować życie postanowił dopomóc losowi złotem: Hrabykowi, katowi miejskiemu, kazał przesłać spory worek dukatów i tyle sztab złota, ile ważył jego topór po dziesięćkroć ważony.

Kiedy nadeszła chwila próby, plac straceń pełen był ludzi. Strażnicy miejscy z trudem utrzymywali porządek. Ze wszystkich stron - z okien, z dachów, setki oczu wpatrzone były w jeden punkt: w kamień, na którym miała być dokonana egzekucja. Wokół kamienia była wolna przestrzeń. Stały tam tylko dwie postacie - mistrz Hrabyk i jego pomocnik. Stali nieruchomi, spoza katowskich opończy widać im było tylko oczy. W rakach pomocnika błyskało ostrze ogromnego topora.

Nad placem zaległa cisza. Kiedy rozległ się dźwięk trąbki herolda, który był znakiem do rozpoczęcia próby, ciżba ludzka zakotłosała się i dał się słyszeć szmer zduszonych głosów: kto winien? Czyja krew się poleje?

Pomocnik podał topór Hrabykowi, a sam położył przed kamieniem czarną poduszkę. Kiedy przygotowania zostały zakończone, wojewoda ruszył ze swego miejsca w kierunku kamienia. Szedł wolnym, dumnym krokiem, z głową podniesioną do góry. Na dnie jego oczu czaił się jednak lęk. A co będzie, jeśli mistrza zawiedzie ręka? Jedli mimo złota, prawda się ujawni? Przez ciało magnata przebiegł dreszcz. Cofnąć się jednak już nie mógł. U jego nóg złowróżbną plamą czerniała ułożona przed chwilą poduszka. Dumny wielmoża staje nad nią, rzuca ostatecznie spojrzenie w stronę ukrytej twarzy kata i klęka. Pomocnik zdejmuje z jego szyi bogaty łańcuch i wierzchnie odzienie. Magnat pochyla głowę nad kamieniem, Teraz każda sekunda wydaje mu się wiecznością. Nic już nie widzi, nie słyszy - tylko czeka.

Tymczasem Hrabyk podchodzi wolno do kamienia. Ustawia się w dogodnej postawie. Oburącz trzyma swój wielki topór. Chwilę trwa w bezruchu, a potem nagle topór wędruje wysoko w górę. Ciało mistrza przechyla się w tył, aby w następnej chwili opaść ku przodowi. Wydawało się, że nic nie uratuje pochylonej nad kamieniem głowy. Topór z ogromną siłą spadał w dół. W ostatniej jednak sekundzie mistrz wstrzymał pęd ręki. Ciężkie ostrze oparło się lekko o obnażoną szyję magnata. Wojewoda poczuł jego zimny dotyk, ale poczuł także, że żyje. Wyprostował się zdrów i cały. Złoto zrobiło swoje.

W chwilę potem przed kamieniem stanął Gąska. Był blady, ale spokojny. Wiedział, że musi zginąć. Nie rozumiał tylko dlaczego - przecież był niewinny. Tym razem potężne ramię Hrabyka nie zatrzymało się. Głowa Gąski od jednego ciosu opadła na bruk. Pomocnik podniósł ją i pokazał zebranemu tłumowi. Krew niewinnego zalewała wielkim strumieniem kamień straceńców. Sąd był skończony.

Kamień ten później, gdziekolwiek się znalazł, przynosił ludziom nieszczęście. Murarz, który chciał go rozbić na drobne kawałki - został oślepiony, drwalowi pośliznęła się na jego gładkiej powierzchni siekiera i zabiła siedzące obok dziecko.

Mijały lata. Kamień obrastał złą sławą, a ludzie zaczęli go unikać.

W czasie wznoszenia soboru na Placu Litewskim, kamień znalazł się przypadkiem na placu budowy. Żołnierz, który stał na wieży soboru, potknął się i spadając roztrzaskał na nim głowę. Kiedy wyrzucono kamień poza miasto, użyto go później do fundamentów wielkiej prochowni. Wkrótce potem prochownia wyleciała w powietrze.

Ostatnio zły kamień znajdował się na ul. Trynitarskiej. W czasie wojny światowej bomby niemieckie uszkodziły najbardziej tę część Starego Miasta.

Kamień spoczywa tam do dziś.

Unikajcie kamienia nieszczęścia. Zdarza się bowiem, choć rzadko, że sprawca zła ujdzie cało, a cierpieć muszą niewinni.

Kucharz na roźnie

Był rok 1537, kiedy wznoszący się dumnie na stromym brzegu Wisły. Wspaniały zamek janowiecki oczekiwał świty królewskiej. Właściciel zamku, kasztelan wielicki, pan na Dąbrowicy i Kocku, Piotr Firlej pragnął godnie przyjąć parę królewską, obsypującą jego rodzinę wieloma łaskami i względami. Nie darmo przecież niosła się po kraju wieść, że „Bona Firlejów stroi...”

Dlatego też ucztą, jaką zamierzał wydać Firlej na zamku i na cześć dostojnych gości, miała być wspaniała. Blask jej miał zaćmić wszystkie, jakie dotychczas wydano. Każdy, któż zasiądzie tego dnia za stołem - mówił kasztelan - dzieciom swoim winien o sjeście tej powieścić.

Również sam zamek kazał Firlej przysposobić odświętnie. Szczególnie troskliwie miała być przyozdobiona sala, w której wydawano ucztę. Pod sufitem przeciągnięto ogromne płaty aksamitnej materii, udrapowanej w misterne fałdy. Na trzech ścianach zawieszono bryły zdobycznych namiotów, każdy w innym kolorze i kształcie. Czwarta ściana, będąca tłem góry stołu pokryta została gronostajem z herbami króla i królowej. Na podłodze ułożono wspaniałe wschodnie dywany, ustawiono rzeźbione krzesła i ławy.

Firlej przygotował również dary: przepyszne naszyjniki — diamentowe, szafirowe i szmaragdowe oraz cudowne medaliony, przepięknie inkrustowane złotem przez najświetniejszych zagranicznych złotników.

Przygotowania trwały wszędzie. Na dziedzińcu wypróbowywano armaty, które miały strzelać na wiwat. Trefnisie powtarzali ucieszne opowieści mające zabawiać gości, kapele grały skoczne melodie.

Marszałek dworu sprawdzał zasoby piwniczne. Czy wystarczają zapasy małmazji, burgunda, tokajów, miodów, wódek gdańskich i miejscowych. Obejrzał również spiżarnie: na drągach wisiała dzikie ptactwo, zwierzyna - sztuka przy sztuce - dziki, łosie, jelenie, sarny. Niczego nie mogło zabraknąć.

Dla odpowiedniego przygotowania olbrzymiej biesiady sprowadzono na zamek czterystu co najprzedniejszych i najzręczniejszych kuchcików, kucharzy do potraw gotowanych, do pieczystego, pasztetników i cukierników. Do kierowania tą kulinarną armią wyznaczył kasztelan doświadczonego mistrza kucharskiego, przybyłego tutaj z obcych krajów. Cudzoziemski mistrz sprawdził najprzód stan całego sprzętu kucharskiego. Przez pół dnia oglądał garnki, rondle wszelakiej wielkości, sagany, brytwanny do pieczystego, patelnię, ryneczki, trójnogi, ruszty, panwie, pokrywy, druszlaki, warzączy, donice do wiercenia maku i migdałów, stolnice, przetaki, noże, tasaki, siekiery, korzennice do gatunkowania korzeni, szafliki i ceberki. Wszystko było w należyтым stanie łącznie z dobrymi, niedymnymi piecami.

Kuchmistrz jednak nosem kręcił, nie rzekł nikomu dobrego słowa, a wręcz przeciwnie, wynosił się ponad wszystkich, wyśmiewał umiejętności nawet znakomitych kucharzy miejscowych, za najmniejsze uchybienie karciał dotkliwie, a nawet okrutnie. Co chwila groził za nieposłuszeństwo skargą u kasztelana lub więzieniem na dnie baszty.

Groźby te jednak niewiele skutkowały. Niechęć do głównego kucharza przeradzała

się z godziny na godzinę w nienawiść, a praca w olbrzymiej kuchni stawała się coraz bardziej powolna i mniej wydajna. Dla zastraszenia innych szef kucharzy polecił wtrącić trzech kuchcików do piwnic basztowych.

W kuchni zawrzało. Czyniono ostatnie przygotowania do biesiady. Wokół roznów leżały wielkie polana świerkowe, nad których płomieniem piec się miały cielęta, prosięta, owce, sarny i dziki. Jeden z kucharzy, który najwięcej ucierpiał od złośliwego szefa, stanął w peogu kuchni i krzyknął:

- Dość tych uciążliwych rządów - obić trzeba pyszałka, zanurzyć w smole i w pieprzu i niech idzie precz, tam skąd przyszedł.

- Niech idzie precz! Wyrzucić go - odezwały się od razu dalsze głosy. Wyrzucić! Wyrzucić!

W wielkiej kuchni było coraz głośniej.

- Wyrzucić to mało, jeżeli mamy dokonać zemsty - odezwał się nagle jeszcze jeden głos. - Dzieło trzeba doprowadzić do końca. Słowa mówiącego stawały się coraz bardziej twarde: - cudzoziemca trzeba udusić, ubić, albo, żywcem na roźnie upiec.

W kuchni zapadło milczenie.

Jeden ze starszych kucharzy, Damian, który dotychczas stał spokojny i zasępiony, podniósł rękę na znak, że i on chce wyrazić swoje zdanie. Wszyscy zwrócili się do niego. Był znanym i cenionym majstrem, cieszącym się poważaniem wśród ludzi owego stanu.

- Upiec - powiedział krótko Damian - źle traktował ludzi. Kuchciki, którzy przedtem z trwogą popatrywali na siebie, teraz zdecydowali się. Ze wszystkich stron kuchni zaczęły padać ponure i zawzięte głosy aprobaty.

Co się później działo, trudno dociec. Nikt ze świadków wydarzeń nigdy potem nie puścił pary z ust.

Gdy następnego dnia rano marszałek dworu wszedł do pomieszczeń kuchennych, włosy z jeżyły mu się na głowie. Nad dogasającym ogniskiem nadziany na rożen wisił upieczony główny kucharz. Przerażony marszałek stał nieruchomo długą chwilę, a kiedy wreszcie minęło pierwsze wstrząsające wrażenie, rozejrzał się wokoło i zauważył, że kuchnia była pusta. Wszyscy sprawcy straszliwej zemsty uciekli.

Przetrząsnęto każdy kąt zamczyska, ale kuchcików nigdzie nie znaleziono. Warta na wałach i przy bramie zaklinała sit, że nikt w nocy nie wychodził z zamku. Później dopiero domyślono się, że wszyscy kucharze uciekli tajemnym, przejściem, biegnącym pod Wisłą na drugi brzeg rzeki. Domysły te okazały się prawdziwe. Kuchciki znaleźli się w Kazimierzu, gdzie nie podlegali już władzy kasztelana.

Piotr Firlej nakazał powrócić kucharzom do zamku i zakończyć przygotowania do uczyty. Mściwa gromada kucharzy zgodziła się na powrót do Janowca dopiero wówczas, gdy kasztelan, „na piśmie słowem swoim zapewnił i pierścieniem rodowym przypieczętował bezpieczeństwo osobom winnym gwałtu”. Magnat w obliczu bliskiej wizyty królewskiej, chcąc nie chcąc - dokument podpisał. Kucharze wrócili do Janowca.

Kto sieje wiatr - ten zbiera burze. Trudno pochwalić czyn kuchcików, jak trudną chwalić wszelką mściwość. Nikt jednak nie powinien naciągać struny, gdyż może ona pęknąć...

Maleparta

„Stańmy przeciw głównej budowie, przeciw gmachowi trybunalskiemu i pojrzyjmy dookoła. Co za zgiełk, wrzawa, hałas i płątanina! Z Krakowskiego Przedmieścia, z Grodzkiej ulicy, z Dominikańskiej ciągną na sądy karoce, kolasy, taradajki, konni i pieszaki. Deputaci, mecenasi, palestra, pisarkowie, klienci, arbitrowie, ciekawi, przekupnie, Żydzi, mieszczenie, mieszczyki, pachoty trybunalscy i miejscy, kozactwo i raj tary panów sędziów, służbo, dworzanie i Bóg wie jeszcze kto. Największy ścisk u furty trybunalskiej, u podnóża wschodów, wiodących na górę, tu precyzyjnie się nie można, młoda palestra zajmuje forpoczty, służba, dworscy, pacholiki schodzą i schodzą, powozy zajeżdżają - pachoty rozpychają tłum...”

W ten sposób opisuje Józef Ignacy Kraszewski w swojej powieści „Maleparta” rynek lubelski w czasie odbywania sądów w Trybunale. Wątek powieści oparty jest na podaniu o prawniku - Paprockim zwanym „Malepartą”, z którym pisarz zetknął się w czasie swego pobytu w szkołach lubelskiej

Ów Maleparta, żyjący za czasów Stanisława Augusta, słynął z pieniactwa i chciwości. Znany był z tego, że podejmował się prowadzenia każdej sprawy, chociażby najbardziej nieuczciwej, byle by tylko otrzymał odpowiednią ilość pieniędzy. Przeprowadzał te sprawy różnymi nieuczciwymi drogami, jak podrabianiem dokumentów, fabrykowaniem fałszywych zeznań, podstawianiem przekupionych świadków i innymi podobnie niegodziwymi środkami. Klienci Maleparty dzięki talentom swego rzecznika kpili ze sprawiedliwości, on zaś stawał się coraz bardziej bogaty.

Maleparta bronił Pawła Sielickiego, którego dom był schronieniem dla różnych łotrzyków, przechowujących tam zrabowane dobra. W domu tym organizowano przemyślnie zasadzki na tych, którzy chcieli odebrać swoją własność. Sielicki niejedną krzywdę ludzką miał na sumieniu i niejedną raz ręce jego zbroczone zostały krwią niewinnych ludzi. Pozywany przed sądy, wychodził obronną ręką, gdyż Maleparta, hojnie opłacony, potrafił go wyciągnąć z najgorszych opatów.

Pewna białogłowa, niepomna na przysięgi złożone mężowi, w czasie gdy przebywał on dłuższy czas poza domem, znalazła sobie amatora, z którym jawnie, ku zgorszeniu ludzi, często się spotykała. Gdy mąż powrócił do domu, niecna małżonka przyjęła go dobrym obiadem, złożonym z ulubionych jego potraw. W czasie posiłku coraz to dolewała mu do kielicha wołoskiego wina. Gdy mąż, zmożony drogą i sutym obiadem, zaczynał drzemać, podała mu do łóżka ostatnią szklanicę. Była ona rzeczywiście ostatnia - za jego żywota, gdyż zawierała truciznę. Zbrodnia, za sprawą krewnych męża, wyszła na jaw, ale Maleparta dopomógł mężobójczyni uciec z wieży, do której została wtrącona.

Kiedy Ignacy Przedpełski napadł zbrojnie na dwór sąsiada i rozszalała czeladź, podpaliwszy dom, nie oszczędziła nawet kobiet, obrońcą jego przed Trybunałem był Maleparta, a sprawa była gardłowa, gdyż sąsiad ów, Jan Sopoćko, życie zakończył, posiekany szablami i wdeptany w ziemię na oczach żony i dzieci.

Znana była szeroko w końcu XVIII wieku sprawa Stanisława Strońskiego. Otóż ów

Stroński uwiódnął pannę, która służyła w jego dworze. Gdy po pewnym czasie widać było zmiany stanu u panny, starościna kazała bić ją tak długo, aż powie, kto jest sprawcą. Dziewczyna, nie wytrzymaawszy bólu, wyznała prawdę. Starosta polecił pannę wysmagać różgami i przegnał na folwark. Ona zaś gdy poczuła się lepiej próbowała ucieczki. Ta jednak nie udała się - słudzy starosty, wystąpi w pogoń, dogonili pannę i pobili tak mocno, że umarła, Krzydwa dziewczyny była oczywista, ale Maleparta już się sposobił do obrony Strońskiego. Mieli niektórzy koledzy Malepartie za złe, że staje zawsze w nieczystych, brudnych sprawach. On jednakże nie przejmował się tym i często mawiał:

- Dziwicie się, że bronię możnych? - przypomnijcie sobie sprawę adwokata Gliniczewskiego.

Wielu palestrantów milkło wówczas. Słyszeli oni o tym wydarzeniu.

Wojewoda Kijowski, Salezy Potocki miał sprawę w Trybunale lubelskim. Adwokat Gliniczewski stawał przeciwko niemu. I Dumny magnat, chcąc zademonstrować swoje lekceważenie dla jego osoby, powiedział:

- Zapytamy waćpana, z jakiej waszeć gliny, mości panie Glinkiewicz?

- Nie z mołdawskiej, ani z wołoskiej, ale z prawdziwej polskiej, mości panie Potoczyński.

Wojewoda zbladł ze złości i umilkł.

To przekręcenie nazwiska magnata nie uszło jednak Gliniczewskiemu na sucho. Potocki postanowił się zemścić. W jakiś czas potem słudzy wojewody napadli go i pobili tak mocno, że wkrótce zmarł.

Zarabianie pieniędzy za wszelką cenę długo jeszcze było głównym zajęciem Maleparty. Ale pewnego dnia ciężko zaniemógł. Leżał w łóżku i rozmyślał nad swoim życiem. Zastanawiał się do czego doszedł, czego dokonał i jakie były jego poczynania. I wtedy zrozumiał wszystkie lata swojej działalności, że nie zrobił niczego dobrego, niczego bezinteresownie, nie pomógł w żadnej słusznej sprawie. Wręcz przeciwnie - za pieniądze wtrącał do więzienia niewinnych i wydziedziczał prawych właścicieli, wyszukiwał fałszywych świadków.

Długo myślał Maleparta. Przestraszył się ogromu wyrządzonych ludziom krzywd i postanowił zerwać z dotychczasowym życiem. Wyjechał z miasta i osiedlił się w nędznej chatce przy drodze z Lublina do Zawieprzyc. Swoje bogactwa obrócił na pomoc biednym, ratując ich w potrzebie. Wkrótce imię jego cieszyło się dobrą sławą.

Jak widać, nigdy nie jest za późno, aby naprawić popełnione błędy.

Sen Leszka Czarnego

Był rok 1262. Książę Leszek, Czarnym zwany, sprawował właśnie sądy w Krakowie, gdy na dziedziniec wawelski wpadł na spienionym koniu zdrożony jeździec. Nie bacząc na protesty straży i dworzan pospieszył prosto do księcia. Zatrzymał się dopiero w drzwiach komnaty, gdzie po przeciwległej stronie zasiadał na swoim wysokim stolcu władca.

Leszek zmarszczył brwi i spojrzał groźnie na intruza, który śmiał zakłócić powagę sądu, ale w chwili potem czoło jego wygładziło się, gdyż poznał przybysza. Był to Krzesław z Moczydołów, wierny sługa Leszkowy, który w niejednej już potrzebie razem z nim bywał. Poblady ze zmoczenia rycerz skłonił się i czekał na znak.

- Zbliź się Krzesławie - powiedział książę. - Jakie wieści przynosisz?
- Złe, panie - odrzekł krótko rycerz. Jaćwierz na Lublin ciągnie.
- Jaćwierz - powiadasz - zasępił się książę. Dużo ich?
- Chmara, panie - odpowiedział Krzesław. Pałą i grabią. Po ich przejściu jeno zgliszcza i pustynia.

Książę powstał i rzekł: zamykamy na dzisiaj sądy. Chodź ze mną - dodał - zwracając się do Krzesława. Pochmurniało coraz bardziej książęce oblicze, gdy Krzesław zdawał mu relacje o tym, co zaszło na wschodnich rubieżach jego włości. Leszek nie chciał wojny. To jeszcze jeden kamień na głównej drodze jego życia - połączenia ziem piastowskich. Ileż to już przeszkód musiał pokonać, aby osiągnąć ten cel. A przeszkadzali mu nie tylko obcy, ale i własni rodacy - możnowładcy, dbający tylko o własny interes, kierujący się prywatą, a nie dobrem ojczyzny. I ta wojna z Jadźwingami spowodowana była knowaniami biskupa Pawła z Przemankowa, który całe swoje życie strawił nie tylko na intrygach, pomnażaniu własnych bogactw i potęgi, ale i na rozpuszcie nieprzystojnej jego stanowi. Cała Polska, jak długa i szeroka, mówiła o mniszce, którą biskup uprowadził z klasztoru klarysek w Skale i utrzymywał na swoim dworze. A Kanoników krakowskich, którzy chcieli go oskarżyć o to w Rzymie, kazał uwięzić. I nie pierwszy to już raz biskup Paweł sprowadzał na kraj wrogów zewnętrznych. Nie wahał się nawet paktować z poganami - tak jak i teraz... Aby tylko nie dopuścić do scalenia rozerwanego królestwa. Aby tylko nie wróciła dawna świetna monarchia Mieszków i Bolków...

Otrząsnął się Leszek z zadumy i tegoż jeszcze dnia kazał czynić przygotowania do wyprawy.

Oddziały Leszkowe szybko poruszały się naprzód. Niewiele razy zaszło słońce, gdy książę stanął pod Lublinem. Tutaj dowiedział się, że Jadźwierz, na wieść o zbliżaniu się jego zastępów, odstąpiła od grodu i przyczaiła się w okolicznych borach. Książę zamyślił się głęboko: czy pozostawić ochronę dla grodu, czy też dogonić wroga, wydać mu bitwę, zniszczyć i zapewnić dla tych ziem pokój na dłuższy okres. Kiedy tak myślał, poczuł się nagle zmęczony. Rozejrzał się wokół. Niedaleko na niewielkim wzgórzu wznosił się potężny rozłożysty dąb. Pięciu ludzi nie objęłoby jego grubego pnia. Dąb ten pamiętał zapewne czasy pogańskie. Mówili niektórzy, że oddawano tu cześć starodawnym bożkom. U stóp drzewa ziemia pokryta było miękkim, puszystym mchem.

- Tu spoczna - pomyślał książę. Jutro podejmę decyzję. Wydał polecenie swoim

wojownikom. Rozstawiono strażę.

W chwilę potem księżę ułożył się na mchu i zasnął. Szumiał stary dąb nad śpiącym rycerzem. I zdało się księciu, że spośród liści płyną do niego słowa: dużo w tę ziemię twoją ojczystą, na której leżysz, wsiąkło krwi bratniej, krwi niepotrzebnie przelanej. Ale nadejdzie czas, że spełnią się twoje marzenia. Ojczyzna będzie znów zespolona. Ale nie wypuszczaj miecza z dłoni. Kraj twój musi być silny. I wydawało się księciu, że pojaśniały liście starego dębu i w tej jasności widzi Michała Archanioła z mieczem ognistym w dłoni. Wydawało się też księciu że słyszy jeszcze głos; weź ten miecz, twoja sprawa jest słuszna.

Leszek obudził się i rozmyślał długo o swoim śnie. Azaliż naprawdę ziszczą się moje marzenia? Czy doczekam, aby wszystkie ziemie piastowskie stanowiły jedną całość, jedno królestwo? I postanowił: wydam bitwę.

Słońce jeszcze nie wzeszło. Daleko na horyzoncie różowiał tylko wąski płat nieba nad lasem. Bór stał ciemny, nieruchomą ścianą. Pole, które dzieliło ów bór od wzgórza, na którym stał czarnowłosy księżę było puste.

Leszek oparty na mieczu, cały w zbroi, zmrużył oczy i uważnie spoglądał na niebo. Wiedział, że za parę chwilą kiedy słońce podejdzie wyżej, on da znak. Od dawna ćwiczony w rycerskim rzemiośle, znał wszystkie sposoby wojowania i instynktem znakomitego rycerza wyczuwał najodpowiedniejszą chwilę. Po drugiej stronie pola, niewidoczne w tej chwili, kryły się niezliczone zastępy Jadźwingów.

Jarosław z Łagowa, dowódca przybocznej drużyny księcia, patrzył uważnie na swego pana. Cekał na znak. Leszek spojrział na niego. Nim księżę zdążył zapytać, Jarosław odpowiedział jednym słowem; gotowi, I rzucił rozkaz - gotuj się! Wezwanie powtórzyli za nim inni dowódcy.

Ze wzgórza ruszyła lawina zbrojnych. Pole bitwy nie było już puste. Z przeciwległej strony, jak okiem sięgnąć się wszystkich skrajów lasu rozsypywali się półkolem Jadźwingowie. Nim zbrojni dotarli do siebie, w powietrzu zaszumiało, jakby zerwał się ogromny wiatr. To tysiące strzał i bełtów wyleciało z tyłuż łuków i kusz. Nie wszyscy zdążyli ponownie naciągnąć cięciwy, a już wojownicy z obu stron starli się w walce wręcz. Zabłyły miecze, sulice, powstał ogromny zgietk, w którym nie najgłośniejszym dźwiękiem był jęk konających.

Miecz uderzał o miecz, topór o topór, kopia o kopię. Krzyk ludzi mieszał się z rzeniem koni. Zaciekłość walczących była wielka, co chwila ktoś walił się na ziemię i jeżeli nie zginął od razu, tratowały go następne szeregi wojowników.

Jaźwierz nacierała ze wszystkich stron. Rycerze Leszka nie ustępowali jednak placu. W walce z całymi oddziałami, czy z poszczególnymi rycerzami, Jadźwingowie padali pod straszliwymi ciosami mieczów i toporów, siekier i maczug. Pole bitwy coraz głośniej słało się trupami. Tu i ówdzie dawały się słyszeć wołania o litość, ale ginęły w ogólnym zgietku bitwy. Podnieceni walką woje rzadko brali jeńca.

Księżę Leszek ze swego pagóra miał baczenie na wszystko. Gdy tylko zobaczył, że jakiś oddział polski otaczany jest przez przeważające siły wroga, natychmiast posyłał tam posiłki. Sam zresztą również nie mógł stać spokojnie i rwał się do boju. Nie dopuszczali jednak do tego jego najbliżsi. Leszek musiał przecież kierować całością przebiegu bitwy.

Kiedy więc książe uznał, że walka zbliża się ku końcowi, dał gwałtownie ostrogę swemu koniowi i runął w dół. Pędząc z góry, rozglądał się za przeciwnikiem. Po lewej swojej ręce ujrzał bogato przystrojonego Jadźwinga - domyślił się że musi to być jeden z dowódców. W jego też stronę skierował konia. Podniósł prawicę, w której trzymał oszczep i z odległości kilki kroków z ogromną siłą cisnął go w nieprzyjaciela. Broń rzucona wprawną i mocarną ręką, przebiła na wylot przeciwnika. Nie wydawszy nawet głosu, runął ciężko na ziemię. Leszka otoczyli podążający za nim dworzanie.

Bitwa była skończona. Oddziały polskie rzuciły się w pogoń za wrogiem i odebrały mu wszystkie zagarnięte przedtem łupy.

Jeszcze przed zmierzchem drużyny polskie wracały do pobliskiego Lublina. Poruszeni niedawnym bojem rycerze prowadzili Ożywione rozmowy i śpiewali pieśni. Cieszyli się na rychły odpoczynek, na posiłek, gdyż teraz dopiero, po bitwie, poczuli głód.

Książe Leszek, jadący samotnie na przedzie, nie cieszył się, razem ze swoją drużyną. Bitwa była ciężka. Chociaż zwycięska pociągnęła za sobą wiele ofiar ze strony polskiej. Wtedy książe przypomniał sobie swój sen. W miejscu, stał dąb postanowił wybudować kościół pod wezwaniem Micha Archanioła. Była to piękna świątynia gotycka, trójnawowa, z długim prezbiterium i dwoma absydami. Dąb święto, a jego pień stanowił podstawę ołtarza.

Świątynia przetrwała wiele lat i została rozebrana dopiero w drugiej połowie XIX wieku. I wtedy okazało się, że pod posadzką kościoła tkwi niezniszczony pień prastarego dębu. Część jego podarowano miłośnikowi ziemi lubelskiej, sławnemu pisarzowi, Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu.

Duch w klasztorze

Jedną z kaplic starego, wybudowanego przez Kazimierza Wielkiego w roku 1342 kościoła Dominikanów zwie się kaplicą Ruszłowską. Nazwa ta pochodzi od imienia siedemnastowiecznego przeora zgromadzenia, ojca Pawła Ruszle.

Przeor uchodził za człowieka wielkich zalet umysłu i serca, pracowitego i pobożnego. W jego celi do późnych godzin nocnych paliła się lampka oliwna, przy której ojciec Ruszel spędzał długie godziny, studiując uczone księgi. Bracia zakonni roznosili wieści, że owa lampka zapalana jest i dopełniana olejem przez aniołów.

Aż pewnej nocy 1658 r. lampka zgasła. Kiedy rano zakonnicy weszli do celi ojca Ruszla, zastali swego przeora martwym. Wieść o śmierci ojca Ruszla rozeszła się szybko i zaczęto przygotowywać uroczysty pogrzeb. Przygotowania rychło jednak zostały przerwane, gdyż wydarzył się dziwny fakt: ciało przeora znikło z celi bez śladu. Mówiono na ten temat różnie, ale nikt nie mógł rozwiązać zagadki. Przeszukano kilkakrotnie cały klasztor i kościół od piwnic aż do strychu, ale bez rezultatu: ciała nigdzie nie znaleziono. Zakonnicy zaczęli wówczas rozpowszechniać wieści, że ciało przeora zostało najprawdopodobniej zabrane do nieba. Do klasztoru spieszyły tłumy wiernych, a każdy z nich składał ofiary i wota. Wkrótce klasztor dominikański stał się jednym z najbogatszych w kraju.

O samej kaplicy zaczęto opowiadać nowe wieści. Otóż któryś z zakonników słyszał ponoć, jak organy same grały, inny znów widział przy ołtarzu jakąś postać, która niechybnie była postacią ojca Ruszla, jeszcze inny utrzymywał, że w nocnej ciszy w korytarzach klasztoru rozlegają się miarowe spokojne kroki. Kroki oczywiście miały być również krokami przeora, który nadal sprawował pieczę nad swoim klasztorem. Wieści te rozchodziły się coraz dalej i powtarzane z ust do ust, ociągały do klasztoru coraz to nowe tłumy pątników. Coraz też bardziej skarbiec klasztoru stawał się zasobny.

Czasami wprowadzie, co rozsądniejsi, dziwili się, że dusza tak pobożnego człowieka, jakim był ponoć ojciec Ruszel, nie może znaleźć po śmierci spokoju i wędruje jak dusza pokutnika, ale szybko bywali zakrzyczani przez innych, którzy chcieli wierzyć w nadzwyczajne zjawiska. Braciszkanie zresztą szli im w sukurs, tłumacząc, że pośmiertne odwiedziny przeora w klasztorze, to po prostu troska o zakon - wszak i za życia był jego dobrym i zapobiegliwym gospodarzem.

Mijały lata. Wieść o zjawie u Dominikanów przekazywano sobie z ojca na syna. Ludzie przestali się już nawet dziwić. A nowe pokolenie zakonników podtrzymywało legendę. Nikt spoza klasztoru zjawy nie widział, ale każdy prawie z braciszków - to słyszał grające organy, to kroki, czy też widział przesuwaną się korytarzami cień w starym habicie. Każdy z nich opowiadał o tym z wielkim namaszczeniem i poczytywał sobie za wielkie szczęście i zaszczyt być świadkiem tych niezwykłych zjawisk.

Aż kiedyś, po więcej niż dwustu latach, w czas wojny, zajęli klasztor żołnierze i tam urządzili sobie kwatery. Pewnej nocy jeden z nich, pełniący wartę, zobaczył na końcu korytarza jakąś dziwną postać. W pierwszym odruchu chwycił za karabin i strzelił. Zakonnicy, którzy pozostali częściowo w klasztorze, natychmiast zaczęli rozpowiadać, że owa postać, którą widział wartownik, to na pewno ojciec Ruszel.

Następnego dnia żołnierze uważnie oglądali miejsce w którym utkwiała kula. Jeden z nich zaczął opukiwać ścianę. I wówczas dał się słyszeć głuchy odgłos. Najwyraźniej ze pierwszą warstwą cegły była próżnia. Postanowiono rozebrać mur. Zawołano rzemieślników i wkrótce okazało się, że wewnątrz znajduje się dość obszerna nisza. Jakież było zdumienie obecnych, kiedy w otwartej wnęce ściany ukazał się szkielet ludzki. Po zbadaniu go stwierdzono niezbicie, że są to szczątki ojca Ruszla.

Słynący dotychczas z cudownych wydarzeń klasztor Dominikanów stracił swoją sławę. Domyślano się bowiem, że braciszkanie, którzy tak głośno i szeroko wychwalali cnoty swego przeora, zamurowali jego ciało po śmierci, aby móc rozgłaszać wieści o jego wniebowzięciu i przysporzyć nie tyle splendoru swemu zgromadzeniu, ile datków na swoje utrzymanie.

Od czasu odkrycia szkieletu nikt już nie słyszał więcej o pojawianiu się jakichkolwiek zjaw w klasztorze.

Straszna góra

Droga od Opola do Kluczkowic jest taka sama jak wiele innych dróg na Lubelszczyźnie, może tylko bardziej malownicza. Z jednej strony połyskują w słońcu ciemne wody stawu zwanego „Barnasem”, z drugiej wśród drzew parku bieleją ściany dawnego pałacu kluczkowickiego. Nad szosą wijącą się łagodnymi serpentykami wznosi się wyniosła góra z resztką drzew na szczycie. Krajobraz pogodny, pełen uroku, całkowicie pozbawiony cech jakiegokolwiek tajemniczości.

A jednak starzy ludzie w tych stronach, mówiąc o owej „górze, nie nazywają jej inaczej jak „straszną górą”. Jedni Stwierdzą, że nocami wałęsa się po górze wielki, smutny pies podwiniętym ogonem, Pies ten idzie wolno w stronę łązisk i wśród drzew. Inni opowiadają, że o północy ukazuje się górze biała dama z twarzą zakrytą welonem. Schodzi z góry, w połowie drogi porywa ją silny podmuch wiatru i postać znika. Są też i tacy, którzy słyszeli o koniu pojawiającym się na „strasznej górze”. Dziwny to był koń - rżał, parskał, bił kopytami, łamał wokół gałęzie drzew, a nigdy nie ukazywał się przechodniom. Od kiedy na górze zaczęło straszyć - trudno ustalić. Być może od chwili, kiedy rozbójnicy dokonali tu krwawego napadu i ofiary mordu powiesili na drzewach po obu stronach drogi. A może...

Było to bardzo dawno, przed kilkuset laty. Wokół góry rósł wtedy piękny, gęsty las ciągnący się długim pasem od Kluczkowic aż do Opola. Ówczesny właściciel klucza dóbr, w skład którego wchodziły również Kluczkowice, książę Lubomirski często zajeżdżał tu na polowania z orszakiem dworskim i licznym gronem gości. Dla wygody swojej i gości postanowił wznieść na górze zamek myśliwski, w którym mógłby przebywać w czasie polowań. Gdy zamek był gotów, okoliczne lasy rozbrzmiewały częściej niż dotychczas głosami trąbek myśliwskich, pieśniami, ujadaniem psów, odgłosami strzałów. Książę wracał z polowania z bogatym łupem grubego zwierz - niedźwiedzi i dzików, a także saren i lisów.

Po kilku latach w zamku i wokół niego zapanowała cisza, książę przestał odwiedzać swoją kluczkowicką siedzibę. Zamek opustoszał i pozbawiony opieki zaczął chylić się ku ruinie.

Mijały lata. Z zamku pozostały tylko fundamenty, fragmenty murów i rozległe lochy. Okolicznych mieszkańców intrygowały jednak ruiny. Byli tacy, którzy twierdzili, że w lochach znajduje się ukryty skarb książęcy. Co śmielsi wybierali się z łopatami i szpadlami na poszukiwania, ale nikomu nie udało się odszukać skarbu, bowiem co do wieczora odkopano, rano znajdowano zasypane. Coraz głośniejsze zaczęło mówić, że jest w tym jakaś nieczysta siła. Wreszcie znalazł się śmiałek skąd pochodził nie wiadomo, który zabrał się z uporem do pracy. Kopał bardziej zawzięcie niż inni, choć pot kroplisty spływał mu z czoła. I jemu właśnie udało się wreszcie odnaleźć żelazne drzwi. Ucieszony tym odkryciem postanowił odpocząć. Najlepiej jak mógł umocnił ziemię przed drzwiami i poszedł się przespać. Nazajutrz o świcie, gdy wrócił z narzędziami, zastał wszystko, tak jak jego poprzednicy, przysypane, ziemią. Inni zrezygnowali. Dopatrywali się w tym nieczystej sily. On jednak był wyjątkowo uparty i żądny skarbu. Zebrał się więc od nowa do pracy. Kiedy zapadał zmierzch, szpadel jego uderzył żelazne drzwi. O te same, do których dokopał się poprzedniego.

- Ktoś ty, człowieku? - odezwał się nagle tajemniczy głos.

- Nazywają mnie Semko - odpowiedział kopacz,
- Jesteś bardzo odważny i bardzo wytrwały. Zasługujesz na nagrody za twoje trudy. Będziesz mógł bez przeszkód odkopać skarb, jeśli spełnisz jeden, warunek.
- Jaki to warunek?
- Zanim ci go wyjawię, odpowiedz mi jeszcze na jedno pytanie: czy jesteś myśliwym?
- Tak, jestem.
- Czy celnie strzelasz?
- Mogę w locie trafić jaskółkę.
- A więc przyjdź jutro w samo południe. Weź z sobą strzelbę i cały sprzęt myśliwski. Odbędzie się tutaj polowanie. Jeśli obierzesz dobry cel, skarby będą należały do ciebie.

Semko ucieszył się. Oko miał świetne, rękę pewną, gotów był stawać do każdego zawodu. Nie wątpił, że dobrze wywiąże się z próby, której ma być poddany. Wrócił do domu pełen dobrych przeczuć. Nazajutrz dzień był piękny, na niebie ani jednej chmurki. Semko wstał wcześniej, dokładnie wyczyścił strzelbę, przygotował wszystko, co potrzebne do polowania. Na godzinę przed oznaczonym terminem był już na miejscu. Niecierpliwie chodził tam i z powrotem, co chwila patrząc na słońce. A ognista kula pięła się coraz wyżej i wkrótce miała osiągnąć zenit. Semko zaczął się trochę niepokoić - coraz bliżej południa, a nic się nie działo. Wokół panowała cisza, było pusto, nigdzie żadnej zwierzyny - Czyżby duch zdrwił sobie z niego? Semko spojrzał w górę. Słońce stało prosto nad ziemią.

I wtedy wokół niego zaroilo się. Przez pole biegły sarny i jelenie. Spod krzewów wyskoczyło całe stado zajęcy, odezwały się również głosy grubego zwierza - dzików, wilków, nawet niedźwiedzia. W powietrzu szybowało ptactwo - kaczki, cietrzewie, głuszce, jastrzębie. Wysoko w górze krążył majestatycznie orzeł.

Semko nie zdążył nacieszyć oczu tym widokiem, gdy usłyszał głos: strzelaj. Był to ten sam głos, który wczoraj przemawiał do niego nocą. Podniósł strzelbę do ramienia i rozglądnął się dokoła. - Gdzie się złożyć do strzału? Kogo wybrać? Zwierzyny i ptactwa było takie mnóstwo. Myśliwy spojrzał w górę i oczy jego zatrzymały się na orle.
- Do niego strzelę - pomyślał. To przecież król ptaków. Ten, kto do niego przemawiał, na pewno dobrze to oceni i pozwoli odkopać skarb.

Semko złożył się do strzału. Wspaniały ptak majestatycznie zataczał na niebie szerokie kręgi. Chwilami przyspieszał lot, to zmów przecinał powietrze nieruchomo, lecąc siłą rozpędu. Semko pociągnął za spust. Orzeł drgnął, zatrzepotał skrzydłami i runął prosto na ziemię. Myśliwy podbiegł szybko w stronę rannego - ptaka.
- Skarb jest mój - pomyślał. Ptak padł od pierwszego strzału.

Już wyciągał rękę, aby cenną zdobycz ująć i podnieść do góry, gdy nagle stanął jak wryty: tam, gdzie przed chwilą leżał ranny orzeł, było tylko puste pole, Semko przetarł oczy i spojrzał jeszcze raz. Wzrok go nie mylił: ptaka nie było. Znikł, jakby się pod ziemię zapadł. Rozejrzał się wokoło i po raz drugi ogarnęło go zdumienie. Na polu nie było ani jednego zwierzęcia w powietrzu - ani jednego ptaka.

- Źle wybrałeś, Semko - odezwał się znany mu już donośny głos. Nie należało strzelać do orła. Ten ptak, to symbol Polski. A ona jest największym skarbem wszystkich ludzi żyjących na tej ziemi. Nie bez przyczyny skarby, których szukałeś, leżą bezużytecznie. Książę Lubomirski, do którego należały, zdobył je ongiś niegodną drogą. Był jednym z tych, którzy opuścili i zdradzili ojczyznę, gdy była w potrzebie. Nikt już z tych skarbów korzystać nie będzie.

Janowieckie skarby

Jan Firlej stał na najwyższym piętrze okrągłej baszty swego wspaniałego zamku i patrzył zadumany w dół. U jego stóp rozpościerał się okazały zamek wybudowany przez jego ojca Piotra. Dumny wojewoda zapragnął mieć siedzibę równą królewskiemu Wawelowi i osiągnął swój cel. Syn nie raz i nie dwa podziwiał dzieło ojca. Zamek janowiecki śmiało mógł uchodzić za pierwszą rezydencją Rzeczypospolitej. Ogromny gmach mieścił wielkie, urządzone z przepychem sale i ponad sto mniejszych komnat. Piękne arkady, misternie kute kolumny marmurowe, niezliczone rzeźby i kominki. Na ścianach malowidła najlepszych mistrzów sprowadzonych z zagranicy i złocenia wykonane przez rodzimych pozłotników. Masywna brama prowadziła na obszerny dziedziniec. Ileż odbyło się tu turniejów rycerskich, ileż pojedynków, ileż dam z okalających dziedziniec krużganków oglądało z bijącym sercem zapasy swoich wybranych.

Firlej oderwał oczy od zamku. Biała plama pałacu odcinała się ostro od otaczających go drzew i krzewów. Dalej, u stóp wzgórza, migotały wody Wisły. Rzeka płynie tutaj szeroko rozlana, powoli, jakby i ona chciała się przyjrzeć wspaniałej budowli. Łagodnym łukiem ogarnia pałac i jego okolice. Czasem tylko jej, główny nurt przerzuca się na drugą stronę, w kierunku Kazimierza. Może dzieje się to wtedy, gdy spokojnej rzece przeszkadzają strzały na wiwat i gwar płynący z zamku w czasie odbywających się tam bogatych uczt i przyjęć.

Firlej znów spojrzał na zamek. Wzrok jego zatrzymał się na dziedzińcu. Dziedziniec krył w sobie głębokie, kilkumetrowe wykopy, z których rozchodziły się w różne strony podziemne korytarze. Kasztelan zszedł z wieży i wezwał do siebie Marszałka dworu.

- Jutro wieczorem nie należy palić świec w zamku - powiedział. Wygasić również beczki smolne oświetlające wzgórze.

- Wedle rozkazu, Jaśnie Wielmożny Panie - zgiął się w ukłonie marszałek.

- I jeszcze jedno - ciągnął dalej Firlej - przed zmrokiem mają się tu zjawić dwaj kamieniarze. Silni i tacy, co dobrze znają swój fach.

- Wedle rozkazu - powtórzył marszałek.

Następnego dnia przed oblicze magnata przyprowadzono dwóch. mieszkańców Janowca, Belicę i Malika.

- To najrzęczniejsi kamieniarze - zarekomendował ich marszałek.

- Dobrze, możesz odejść.

Kiedy marszałek odszedł, kasztelan zwrócił się do rzemieślników; teraz pójdziecie za mną. Macie się nie rozglądać i patrzeć tylko w ziemię. Firlej wstał z fotela i ruszył przodem. Mijali liczne komnaty, mroczne krużganki na piętrze, potem zeszli do piwnic. Tutaj magnat pozwolił kamieniarzom zapalić kaganek. Przy nikłym migocącym świetle szli dalej. Po pewnym czasie, już głęboko pod ziemią, znaleźli się w okrągłej, małej salce. Wiodły z niej w różne strony wąskie korytarze. Firlej rozejrzał się i zbliżył do jednego z nich. Korytarz był długi, kręty i czasami tak wąski, że musieli iść bokiem. Kamieniarze z trudem dźwigali swoje narzędzia. Wreszcie przybyli na miejsce. Korytarz w tym miejscu nieco się rozszerzył, tak, że wszyscy trzej mogli się w nim swobodnie poruszać.

- Tutaj wykujecie dwie obszerne nisze - powiedział kasztelan. Robota ma być skończona do jutra. Tam w kącie macie przygotowany posiłek.

Kiedy Belica i Malik zostali sami, zrobiło im się jakoś nieswojo. Cisza była absolutna. Znikąd nie dochodził żaden głos.

- Dziwna ta robota po nocy - odezwał się wreszcie niepewnym głosem Belica.

- A bo to jedną dziwną rzecz wymyślają panowie? - odpowiedział Malik. Nie gadajmy, a bierzmy się do roboty.

- Masz rację, bo jeszcze ściągniemy na siebie gniew pański.

W chwilę potem dały się słyszeć miarowe uderzenia oskardów. Mijały godziny, a dwaj chłopcy kuli i kuli. Odpoczywali rzadko, choć pot zalewał im oczy. Skąła była twarda, a pracę musieli skończyć na czas.

Następnego dnia kamieniarze usłyszeli zbliżające się kroki. Wrócił Firlej. Zmierzył dokładnie głębokość wykutych nisz i kazał kamieniarzom przyjść powtórnie wieczorem.

- Przynieście z sobą wapno i kielnie. A teraz możecie odejść.

Następnego wieczora Belica i Malik przemierzali labiryntem korytarzy tę samą drogę. Gdy przybyli na miejsce, zastali tam cztery duże skrzynie i dwie beczułki pełne złota i srebra, drogich kamieni i pereł.

- Postawcie to we wnęki i zamurujcie - rozkazał kasztelan. Kamieniarze z trudem podnieśli skrzynie - tak były ciężkie - i ustawili, na wyznaczone im miejsca. W chwilę potem zabrali się do pracy. Tym razem Firlej, usiadłszy na stercie kamieni, Przyglądał się ich robocie. Kiedy nisze zostały zamurowane, kamieniarze porzucali po całym korytarzu resztki wapna i kamieni. Kasztelan podszedł do nowo wzniesionej ściany i uderzył w nią kilka razy. Odgłos był głuchy. Mur został wykonany solidnie.

- A teraz słuchajcie - odezwał się do kamieniarzy - o tym, co tutaj robiliście i widzieli, macie milczeć jak grób. Nikt na świecie nie może o tym wiedzieć. Dla was, to sprawa albo nagrody, albo... gardła.

Przy ostatnich słowach głos magnata stwardniał, oczy spojrzały ponuro i groźnie. Belica i Malik jakby się skurczyli pod tym spojrzeniem: - byli pewni, że w razie potrzeby Firlej spełni swoją straszną groźbę.

Kasztelan sięgnął do kieszeni i wyjął dwie sakiewki napełnione złotem.

- To dla was - rzekł. I pamiętajcie, com wam powiedział.

Kamieniarze, tak jak im przykazano, nie puścili nikomu ani pary z ust o swoich nocnych zajęciach. W Janowcu jednak nie mieszkali długo, Belicę kazał Firlej osadzić w innych swoich dobrach, w lasach naddniestrzańskich, gdzie musiał zajmować się bartnictwem, Malik zaś przeniesiony został do starego dworzyszczu u źródeł Wieprza.

Obaj porzucili dawne swoje zawody kamieniarzy. U każdego z nich jednak na dnie skrzyni spoczywał dość spory odłamek, który zatrzymali na pamiątkę owej pamiętnej nocy pracy w janowickich lochach.

Skarby te jednak zostały później odnalezione. Może Bylica lub Malik przekazali tajemnicę swoim synom, a może było inaczej. Nie wiadomo. W każdym razie w czasie, gdy do Janowca zbliżali się Szwedzi, przygotowując się do obrabowania i zniszczenia zamku, mieszczanie janowieccy dotarli do zakonspirowanych lochów.

Skrzynie wydobyto, a bogactwa w nich rawarte zostały przeznaczone na wyposażenie wojsk broniących ojczyzny przed szwedzkim zalewem.

Bohaterska Jagna

Cały lubelski gród szykował się do obrony. Wzmacniano palisady, sypano wały, pogłębiano fosy. Do pracy stanęli wszyscy mieszkańcy - mężczyźni, kobiety, nawet dzieci. Od wschodu bowiem nadciągało największe niebezpieczeństwo, jakie mogło spotykać wszystko, co żyje we wsiach, chutorach, osadach a nawet obronnych kasztelach - Tatarzy.

Tatarzy... Nikt ich tu jeszcze nie widział, ale lękiem napawali wszystkie serca. Od dobrych już paru niedziel dochodziły o nich coraz to nowe i coraz straszliwsze wieści. Wieści przy nosili zbiegowie, którzy zapadli w lasy i udało im się ująć przed nawałą. Wiedzano, że idą ogromną chmarą, że co spotkają na drodze, to palą, zabijają mężczyzn i dzieci a niewiasty biorą w jasyr na wieczną niewolę i poniewierkę. Zostawiali po sobie jedynie zgliszcza i pomordowanych, których nie było komu pochować.

Mgła jeszcze nie opadła, kiedy wczesnym rankiem strażnik czuwający na szczycie baszty kasztelu krzyknął - Tatarzy! Wiadomość lotem błyskawicy obiegnęła kasztel i gród. Daleko na horyzoncie w pierwszych promieniach słońca można było dojrzeć szybko poruszające się ruchome cienie. Cienie to zbliżały się, to oddalały i łatwo już było rozróżnić jeźdźców, jakby przylepionych do małych, ale zwinnych i zwrotnych koników.

Na kasztelu od kilku dni już zapadła decyzja: Będziemy się bronić. Teraz nadeszła godzina próby. Zbrojne oddziały były gotowe. W krótkim czasie wszyscy wojowie zajęli przeznaczone im miejsca.

Tatarów widać już było dokładnie. Słońce wzeszło, zrobiło się jasno. Ziemia drgała od niezliczonej ilości uderzeń końskich kopyt. Co chwila powietrze przecinał przeraźliwy krzyk, który wydierał się z tysięcy gardeł i przewalał jednym wielkim wyciem ponad całym grodem.

- Dziesięciu ich będzie na jednego z nas - odezwał się jeden z wojów.

- Dziesięciu? - ja myślę, że pięć razy po dziesięć, albo i więcej - powiedział drugi.

- Nie w ilości siła, a w męstwie - odezwał się trzeci głos.

W tej chwili w stronę grodu wyleciało tysiące strzał. Zanim pierwsze dotarły do celu, powietrze przecinał świst następnych. Kręgi zataczane przez wrażeń jeźdźców stawały się coraz węższe.

Wtedy napięły się cięciwy łuków obrońców. Z baszt i sponad palisady poszybowały dziesiątki strzał. Przygotowano gorącą wodę i smołę, ale Tatarzy jakby się cofnęli. Trwało to jednak krótko. Zagon skośnookich wojowników rozstąpił się, a spoza ich pleców ukazał się tłum ludzi z pochodniami nasyconymi smołą, którzy biegli prosto na palisadę grodu.

Szmer grozy dał się słyszeć wśród obrońców. Ten tłum, to byli jeńcy zagarnięci przez Tatarów i teraz wypuszczeni przez nich naprzód - mieli albo zginąć od swoich, albo rzucić płonące żagwie pod palisadę.

Ten moment uznał dowódca grodu za najbardziej odpowiedni do kontrataku. Brama do kasztelu otwarła się i na nieprzyjaciela runęli jak burza lubelscy wojowie.

Omijając biegnących środkiem jeńców, cały impet skierowali na lewe skrzydło wrogów. Z łuków zerwały się strzały, a w chwilę potem zabłyśły szable i topory. Walczyły całe oddziały, walczyli wojownicy. Nad polem bitwy unosił się jeden wielki zgiełk, w którym szczek broni mieszał się z rżeniem koni i jękami rannych oraz konających.

Lublinianie nacierali mężnie, ale musieli się cofnąć przed liczebną przewagą wroga. Kiedy Polacy zauważyli, że wokół nich zacieśnia się coraz bardziej krąg tatarskich wojowników, aby uniknąć okrążenia postanowili powrócić do grodu. Pierwsze zadanie - udowodnienie Tatarom, że gród i kasztel nie będą dla nich łatwą zdobyczą - zostało wykonane. Tatarzy też się cofnęli i zatrzymali wielkim łukiem pod lasem, z którego wyszli.

Nie wszyscy Polacy wrócili do grodu. Wielu z nich zostało na polu walki. Zginął między innymi Radosław i jego teść. Zginęło wielu innych dzielnych rycerzy. Gród rozbrzmiewał teraz lamentem niewiast, które opłakiwały swoich bliskich. Wśród nich Jagna, żona Radosława, która straciła i męża i ojca.

Kiedy minął pierwszy ból - Jagna postanowiła pomścić śmierć ojca i męża. Zrodził się jej w głowie pewien plan. Przedstawiła go wójtowi, kierującemu obroną grodu. Wójt w pierwszej chwili słuchał wywodów Jagny z pewnym niedowierzaniem, ale po namyśle zgodził się. Zresztą nie było innego wyjścia. Tatarzy nie odstępowali i należało spodziewać się lada moment następnego ataku. Obrona będzie coraz trudniejsza. Strażnicy czuwający na basztach donieśli, że zbliżają się nowe zagony skośnookich jeźdźców.

Z grodu prowadziły na zewnątrz długie i kręte, tajemne przejścia. Tymi korytarzami Jagna wyszła nocą z miasta i zjawiała się w obozie tatarskim. Wartownicy przyprowadzili ją natychmiast przed oblicze wodza dzikich zastępów. W namiocie odbywała się właśnie narada, w której brała udział cała starszyzna tatarska. Jagna stanęła oko w oko ze sprawcami swego i mieszkańców miasta nieszczęście.

- Po coś tu przyszła? - padło pierwsze pytanie.
- Po to, aby dokonać zemsty na tych, od których doznałam wielu krzywd.
- Od kogo doznałaś krzywd?
- Od ludzi, wśród których mieszkam. Wyrządzili oni wiele zła mnie i mojej rodzinie.
- A czego żądasz od nas?
- Chcę, abyście mnie pomścili. Przyszedłam pokazać wam tajemne przejście do miasta, abyście mogli zabrać w całości skarby, które się w nim znajdują i ukarać tych, którzy mnie skrzywdzili.
- A znasz te tajemne przejścia?
- Przecież nimi właśnie przyszłam tutaj.
- Dobrze, naradzimy się. Wyprowadzić ją - rozkazał.

Jagnę chwycono za ramiona i wyprowadzono z namiotu. Narada przeciągała się. Czyżby mój plan się nie udał? - pomyślała z rozpaczą młoda kobieta. Ale w chwilę potem przyszła refleksja - jeżeli radzą tak długo, to może wszystko pójdzie po mojej myśli. Wkrótce zawezwano ją znowu.

- Doszliśmy do wniosku, że mówisz prawdę - powiedział wódz tatarski - ale pamiętaj, jeżeli kłamiesz, w mękach skończysz życie.

Jagna opuściła powieki, gdyż bała się, aby patrzący na nią badawczo Tatarzy nie dojrzeliby radości w jej oczach.

- Jeszcze tej nocy pójdziemy do miasta - ciągnął dalej przywódca - zaskoczmy ich. W jego dzikich oczach zabłyśła chciwość.

Wódz tatarski polecił poczynić odpowiednie przygotowania. Wkrótce drużyna, w której znalazła się cała nieomal starszyczna tatarska, ruszyła w kierunku wskazanym przez Jagnę. Po kilkunastu minutach marszu przybyli na miejsce. Przy wielkim kopcu, obrośniętym krzakami, znajdowało się wejście do lochu. Jagna weszła pierwsza. Za nią, oświetlając drogę kagankami, posuwali się długim szeregiem Tatarzy. Gdy ostatni z nich minął wykutą w skale komnatę, w którą w pewnym miejscu zamieniał się korytarz, posypały się z góry wielkie kamienie. To wójt wraz ze swoją drużyną ogromnymi głazami zasypali wejście do lochu. Odwrót został zamknięty. Wszyscy Tatarzy zginęli. Zginęła również Jagna. Jej bohaterski czyn nie poszedł jednak na marne. Następnego dnia mieszkańcy grodu ujrzeli jak Tatarzy, pozbawieni przywódców, w popłochu opuszczają swój obóz i odjeżdżają. Miasto zostało uratowane.

Do dzisiejszego dnia żyje w pamięci ludzi ten czyn niewieści jako symbol ofiarności, bohaterstwa i patriotyzmu.